

PARAFIALNY

APOSTOŁ

PARAFIA ŚW. APOSTOŁÓW JANA I PAWŁA

ISSN 2300-0201

Warszawa (Goclaw)

Grudzień 2022

Nr 4 (99)



Źródło foto: wikipedia.org

**PRZY SZOPCE, W KTÓREJ LEŻYSZ BEZBRONNY,
NIECH USTANIE WSZELKA PRZEMOC**

(Św. Jan Paweł II)

Wszystkim Czytelnikom Apostoła, całej naszej parafialnej wspólnocie
życzymy gorąco głębokiego przeżywania tajemnicy Wcielenia,
radości z obecności Jezusa Chrystusa wśród nas, w nas samych.

Redakcja Apostoła

ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II O STAJENCE BETLEJEMSKIEJ

Szopka znakiem wiary

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia i w wielu miejscach ustawiane są już szopki, tak jak tu na placu św. Piotra. Mała czy duża, prosta czy wyszukana, szopka jest bliskim nam i jakże bardzo sugestywnym obrazem Bożego Narodzenia. Należy ona do naszej kultury i tradycji artystycznej, ale przede wszystkim jest znakiem wiary w Boga, który w Betlejem «zamieszkał wśród nas» (por. J 1, 14).

Jak co roku, poświęcę za chwilę figurki Dzieciątka, które w Świętą Noc zostaną złożone w szopkach, gdzie są już św. Józef i Matka Boża, cisi świadkowie wielkiej tajemnicy. Ich spojrzenie, pełne miłości, zachęca nas do czuwania i modlitwy, abyśmy przyjęli Boskiego Zbawiciela, który przychodzi przynosząc światu radość Bożego Narodzenia.

Do przeżywania już dziś tej właśnie radości zachęca nas III Niedziela Adwentu, nazywana Niedzielą Gaudete. Prośmy oczekującą Dziewicę, aby chrześcijanie i wszyscy ludzie dobrej woli odczuwali żywe pragnienie spotkania z Panem, który jest już blisko.

(Rozważanie przed modlitwą „Anioł Pański” 12.12.2004)

*Przy szopce, w której leżysz bezbronny,
niech ustanie wszelka przemoc,
która szerzy się, powodując nieopisane cierpienia;
niech wygasną liczne zarzewia napięć,
grożące wybuchem otwartych konfliktów;
niech pogłębi się pragnienie poszukiwania pokojowych rozwiązań,
w poszanowaniu uprawnionych dążeń ludzi i narodów.*

(fragment ostatniego orędzia *Urbi et Orbi*, wygłoszonego 25 grudnia 2004 r.)

Źródło tekstu i foto: p2online.pl



GWIAZDA BETLEJEMSKA

Od zarania dziejów człowiek stworzony dla nieskończoności patrzył z zachwytem w niebo i gwiazdy. Majestat rozgwieżdżonego firmamentu wprawia nas w zadumę i metafizyczny zachwyt zginający kolana. Wśród wszystkich najwspanialszych gwiazd na niebie żadna nie doczekała się jednak takiej „kariery” jak gwiazda betlejemska. W Ziemi Świętej jej srebrzysty kolor spotykamy na każdym kroku. Taką widzimy ją dziś w całym świecie na choinkach. Niestety w przestrzeni handlowej często zbeczeszczoną, na użytek komercji w kolorach czerwonych, żółtych i całego genderu. W dawnej Polsce co roku w wigilijny wieczór wypatrywaliśmy pierwszej, najjaśniejszej, symbolicznej przeciwieństwa „gwiazdki betlejemskiej” jako znaku do rozpoczęcia misterium wigilijnej wieczery.

GWIAZDA BETLEJEMSKA KOMETA?

Przez wieki panował pogląd, że Mędrców ze Wschodu mogła przyprowadzić do Betlejem albo kometa, zazwyczaj dłuższy czas zatrzymująca się na niebie, albo też któraś z tzw. gwiazd supernowych rozblaskujących wielkim iskrzącym światłem. Przekonanie to pogłębił genialny florencki malarz Giotto di Bondone (zm. 1337). Na wspaniałym fresku (nie obrazie!) ukazującym Trzech Mędrców (kaplica degli Scrovegni dell' Arena w Padwie) namalował gwiazdę betlejemską z ciągnącym się za nią ogromnym ogonem światła. Giotto zainspirowała nieznaną wtedy kometa, którą obserwował w 1301 roku, a która cztery wieki później – od nazwiska swego odkrywcy w 1705 roku - została nazwana kometa Edmonda Halleya (zm. 1742). Daje się powiedzieć na ziemi co 76 lat. Dużo później rozwinięta naukowo astronomia skorygowała przekonanie Giotto i wyliczyła, że kometa Halleya nie mogła prowadzić Mędrców ze wschodu, gdyż według dokładnych wyliczeń pojawiła się na niebie 12 lat przed narodzeniem Chrystusa. W 1986 roku do obserwacji przelatującej komety Halleya wysłano m.in. – z wdzięczności dla Giotto - kosmiczną sondę jego imienia, która zrobiła po raz pierwszy zdjęcia tej olbrzymiej kosmicznej bryły o wymiarach 15 na 8 km składającej się ze skał, lodu oraz nieznanego materiału organicznego, odpornego na wysokie temperatury. Obliczono też nawet, że kometa Halleya podczas każdego przelotu traci w pobliżu Słońca ok. 250 mln ton materii, dlatego warto się pośpieszyć z jej oglądaniem, ponieważ za 170 tysięcy lat zniknie już na zawsze.

GWIAZDA BETLEJEMSKA

ZJAWISKIEM ASTONOMICZNYM

To na wschodzie, w dalekim Sippar w Mezopotamii (dziś Abu Habbek w Iraku, 30 km na zachód od Bagdadu), wspomnianym już w Kodeksie Hammurabiego, ujrzeli „gwiazdę betlejemską” Mędrcy pracujący w tym

sławnym ówczesnie ośrodku astronomiczno-astrologicznym. Przedziwne i nieznanne im dotąd zjawisko świetlne kazało badaczom nieba udać się w poszukiwaniu Kogoś nadzwyczajnego, na którego nowa gwiazda miałaby wskazywać. Z imion znamy ich dopiero od wczesnego średniowiecza. Również ich liczba w historii bywała różna. Musiała to być jednak większa ekspedycja z niemałym zapleczem oraz oprzyrządowaniem skoro różne tradycje wspominają o dwunastu (syrjska) a nawet sześćdziesięciu (koptyska) uczestnikach wyprawy. Pamiętajmy, że w ówczesnym świecie – co spotyka się niekiedy i dziś – istniało powszechne przekonanie, że każdy człowiek ma swoją gwiazdę. Któż to taki mógł się urodzić – zadawali sobie pytanie Mędrcy – skoro na niebie ukazała się nam tak jasna i niezwykła gwiazda, której dotąd nie znaliśmy. Cudowną „gwiazdę betlejemską” jej wpływ na świat i dzieje tak później poetycko opiewał wielki biskup-męczennik św. Ignacy z Antiochii (zm.107): „Zabłysła na niebie gwiazda ponad wszystkie gwiazdy, a światło jej było niewypowiedziane i zadziwiła swoją nowością. Wszystkie inne gwiazdy razem ze słońcem i księżycem chórem ją otoczyły, a ona dawała więcej światła niż wszystkie pozostałe. I zaniepokoiły się, skąd ta nowość tak do nich niepodobna. Wówczas to zginęła wszelka magia i znikły wszelkie więzy złości, skończyła się niewiedza i upadło dawne królestwo, kiedy Bóg objawił się jako człowiek w nowości życia wiecznego: zaczynało się spełniać to, co Bóg postanowił. Toteż wszystko było poruszone, bo przygotowywało się unicestwienie śmierci”.

ODKRYCIE KEPLERA

17 grudnia 1603 roku tzw. „gwiazdę betlejemską” w swoim obserwatorium astronomicznym, w zamku na praskich Hradczanach, odkrył genialny, zaledwie 31-letni, astronom Johannes Kepler (zm. 1630). Na nocnym niebie odkrył koniunkcję - zbliżenie Jowisza i Saturna w gwiazdozbiornie Ryb. Planety zbliżyły się do siebie tak bardzo, że z ziemi widoczne były jak jedno ciało niebieskie. Geniusz astronomii wykazał, że nie ma żadnej osobnej „gwiazdy betlejemskiej”. Tylko więc na czas koniunkcji Saturn i Jowisz przyjmują razem imię „gwiazdy betlejemskiej”. Zjawisko to w astronomii zwie się Wielką Koniunkcją ciał niebieskich, co w przypadku Jowisza i Saturna zdarza się rzadko, a maksymalne zbliżenie dokonuje się nawet raz na kilkaset lat. Kepler wykazał, że Wielka Koniunkcja tych dwóch gwiazd miała dokładnie miejsce aż trzykrotnie w roku narodzenia Chrystusa: 29 maja, 1 października i 5 grudnia. Stąd ewangelista napisał, że „gwiazda poprzedzała ich” (Mt 2,9). Ostatnia Wielka Koniunkcja miała miejsce 21 grudnia 2020 roku i była widziana przez kilkadziesiąt godzin. Było to najbliższe



Źródło foto: nauka.wiara.pl

zbliżenie obu gwiazd od 1623 roku. Warto dodać, że ich koniunkcje na długo przed Keplerem, bo 27 sierpnia 1563 roku w obserwatorium astronomicznym Akademii Krakowskiej prowadzili nasi astronomowie Jan Muscenus i Stanisław Jakobeusz z Kunelowa oraz Mikołaj z Szadka. W 1606 roku, trzy lata po odkryciu, Kepler opisał zjawisko koniunkcji w dziele „O prawdziwym roku narodzenia naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa”. Warto dodać, że w czasach bliskich narodzeniu Pana Jezusa miały też miejsce inne niezwykle zjawiska planetarne. W szóstym roku przed narodzeniem Chrystusa, nastąpiła kolejna inna już koniunkcja Jowisza i Saturna wraz z Marsem. Z kolei w roku piątym przed Chrystusem przez kilkadziesiąt dni widoczny był fenomen zbliżenia Jowisza i Saturna oraz Marsa i Księżyca.

Tu ważna uwaga, Drogi Czytelniku. Chodzi o nową chronologię czasu i wydarzeń ustaloną na rozkaz papieża Jana I (zm. 526) przez ormiańskiego mnicha Dionizego Małego (zm. 544). Papież ten nakazał, by wszystkie ważne zdarzenia były odtąd przeliczane od daty narodzenia Chrystusa a nie – jak dotąd - założenia Rzymu. Dziś wiemy, że ten sławny i niezwykle pracowity mnich pomylił się w swoich rachubach bardzo niewiele, ale jednak o siedem lat. Nowa chronologia, którą opracował Dionisius Exiguus przyjmowała się bardzo opornie. Ba, nawet sama kancelaria papieska się ociągała i w niektórych dokumentach, aż po roku tysięcznym, ciągle pieczętowała się systemem imperialnego Rzymu ab Urbe condita zamiast po Chrystusie. Nie ma dziś potrzeby dokonywać

rewolucji chronologicznej i zmieniać datacji setek milionów lat w historii. Warto jednak pamiętać, że prawdziwie rozpoczęty przez nas szczęśliwie – za łaską Bożą - rok 2022 jest w istocie najpewniej rokiem 2029 od rzeczywistego narodzenia naszego Pana i Zbawiciela w Betlejem.

POTWIERDZENIA ODKRYĆ KEPLERA
Wczasach już nam bliższych odkrycie Keplera potwierdziły nam dwa inne odnalezione ważne dokumenty. Pierwszym jest odkryty w 1902 roku egipski papirus zwany „Stołem Planetarnym”, na którym zapisana została aż 27-letnia obserwacja nieba w latach od 17-tego przed Chrystusem do 10. po Chrystusie. Na papirusie odnotowano koniunkcję Jowisza i Saturna dokładnie tę samą, którą odkrył Kepler – że była w roku 7 przed Chrystusem. Nadto 23 lata później sławny orientalista Paul Schnabel w roku 1925 na terakotowych neobabilońskich tabliczkach, pochodzących (uwaga!) z obserwatorium w Sippar, odczytał informację o koniunkcji Jowisza i Saturna również w 7 roku przed narodzeniem Chrystusa. Warto wreszcie dodać, że do naszych czasów pozostały zapiski obserwacji nieba poczynione przez starożytnych astrologów chińskich, w których odnotowano to samo zjawisko astronomiczne, czyli Wielką Koniunkcję Jowisza i Saturna z 7. roku przed Chrystusem. Cudem samym w sobie jest to, że starożytne dokumenty zachowały się poprzez wieki i są niepodważalnymi dowodami narodzin Dzieciątka Jezus, których dostarcza nam archeologia. Autentyczność „gwiazdy betlejemskiej” ostatecz-

nie i szeroko udowodnił słynny profesor uniwersytetów w Wiedniu i Innsbrucku Konradin Ferrari d'Occhieppo (zm.2007) w dziele „Gwiazda betlejemaska – historia czy legenda”(1991). Jak wnikliwie były badania fenomenu gwiazdy niech świadczy ścisły kalendarz ekspedycji jej odkrywców - Mędrców. Po ujrzeniu jej podczas pierwszej koniunkcji 29 maja rozpoczęto organizowanie ekspedycji badawczej. Karawana wyruszyła w drogę 3 października, w żydowskie święto Yom Kippur – Pojednania, przynależąca drugą koniunkcją. Zaś tuż przed wejściem do Świętego Miasta 5 grudnia ujrzeli trzecią koniunkcję.

DUCHOWE ODCZYTANIE GWIAZDY

Intrygujące i niezwykle zjawiska astronomiczne towarzyszące narodzeniu Chrystusa mogą wszakże sprowadzić nas wierzących na manowce. Ewangelicście nie chodziło przecież o podanie nam informacji astronomicznych. Tę podjęły i wyjaśniły nam prace badawcze naukowców z różnych dziedzin. Ewangelia Mateusza – jak cała Biblia - jest nade wszystko księgą wiary i refleksji teologiczno-duchowej. Nie zajmuje się informacją o zjawiskach kosmicznych. Pamiętajmy, że cały starożytny Wschód, a później antyczna kultura grecko-rzymska utrzymywała, że każdy - a już zwłaszcza osoby wybitne - rodzi się pod swoją szczególną gwiazdą. Uważano, że blask gwiazdy ludzi niskiego stanu jest znikomy i błąd. Na monetach starożytnych władców (np. emitowanych przez Heroda, czy Oktawiana) widzimy dziś wyraziste gwiazdy nad ich głowami dominujące na monecie. Warto dorzucić, że na jasnogórskim wizerunku nasza Przenajświętsza Matka i Królowa ma też sześcioramienną gwiazdę Dawidową nad czołem.

Przypomnijmy sobie Wergiliuszowego Eneasza z Troi, którego do Lacjum również prowadziła jego gwiazda. Ewangelista Mateusz wyraźnie mówi, że „gwiazda, którą widzieli prowadziła ich aż do miejsca, gdzie znajdowało się Dziecię” (Mt 2,9). A przecież gwiazdy biegną po swoich trajektoriach i nigdy się nie zatrzymują. **Najważniejsza jest myśl duchowo-ascetyczna ewangelicznego opowiadania. Od obrazu i realnego zdarzenia musimy przejść w sferę ducha i wiary, i zgłębić to, co autor natchniony chciał nam powiedzieć ważnego dla duszy i życia. A więc to, że Chrystus jest gwiazdą oświecającą „każdego człowieka, który na ten świat przychodzi” (J 1,9). Pragnie i proponuje byśmy szli za nim. Każdy z nas powinien odkryć Go jako swoją osobistą i najważniejszą gwiazdę, która człowieka prowadzi, by uczynić go prawdziwym mędrcem idącym do Betlejem, do domu Jezusa, Maryi i Józefa, do Domu Kościoła, a w końcu do prawdziwego domu „nie ręką ludzką uczynionego, lecz wiecznie trwałego w niebie” (por. 2 Kor 5,1). Inaczej pozostaniemy w samotności i lęku jak Herod ze swoją udawaną ciekawością i drwinami: „abym i ja mógł pójść i oddać mu pokłon” (Mt 2,8). To Chrystus ma być dla nas Gwiaz-**

dą Zaranną i Wschodzącym Słońcem na firmamencie naszego życia. Nie wikłajmy się wśród rojów gwiazd sezonowych, wśród idoli, meteorów, które rozbłyskują i spadają pozostawiając nas w beznadziei i ciemności na wieczność. Czy zapomnieliśmy już czego uczył nas Jan Paweł II Wielki, że „życie ludzkie bez Chrystusa nie ma korzenia ani sensu”?

GWIAZDY ZWODZENIA

Szatan strącony z gwiazdzistego nieba wie, że nigdy już do niego nie powróci. W głębi swej zbuntowanej istoty stał się zamkniętym na światło. Dlatego przed człowiekiem, by go zwieść ciągle zapala nowe gwiazdy, zbiera i organizuje przeciw Bogu nowe zastępy buntowników odrzucających ład Boży i porządek natury w świecie i w człowieku. Ciągłe na nowo, od tworzonymi przez siebie demonicznymi gwiazdami, zbiera chętnych władzy nad światem. Sam strącony z gwiazd nie może się rozstać z ich symbolem. Zmienia kształty i kolory gwiazd, a w naszych czasach sięgnął nawet po kolory tęczy, by maksymalnie zohydzić ten popotopowy znak przymierza Boga z ludzkością i ubóstwić nawet sodomie. Zły się uwija. Nie podola przecież kusić każdego z osobna. Używa więc sieci i wybiera swoich rybaków, by zagarniać od razu całe mnóstwo. Siecią zaś są antyludzkie i antyboskie ideologie. To już nie dawny faszyzm, nazizm czy komunizm, ale aborcjonizm, fetyszyzm, ekologizm, klimatyzm, seksizm – nowe gwiazdy jako klucze do zniewolenia każdego człowieka z osobna, a nawet całych narodów. My, spod betlejemskiej gwiazdy, wiemy jednak dobrze, bośmy doświadczyli, że ideologie ateistyczne i antyboskie będą zawsze antyludzkie i prowadzące katastrofę.

Prawdziwi Mędrcy szli i dalej idą wyłącznie za Gwiazdą Betlejemską. Widzimy ją fascynującą aż czternastoramienną i lśniącą srebrzyście w betlejemskiej Grocie Narodzenia. Kolędową strofę: „O gwiazdo betlejemaska zaświeć na niebie mym”, uczynimy naszą częstą modlitwą rozciągniętą nawet poza tradycyjny czas kolęd. Na niebie naszego życia niech świeci zawsze tylko ta jedyna, prawdziwa gwiazda. Zaciągając się w służbę pod innymi gwiazdami – prymitywnymi podrobami betlejemskiej – zniewolimy samych siebie i przegramy życie, a bardzo prawdopodobne, że i wieczność. Szybko upływają nasze lata. Niech te, które nam jeszcze pozostają będą rosnącym z dnia na dzień i z roku na rok coraz głębszym pokłonem jednemu naszemu Panu i Zbawicielowi. **Tylko przed Nim padajmy na twarz, jak Trzej Mędrcy. Zapewne w naszym życiu bywało, że klanialiśmy się okolicznościom. Wraz z upływem lat niech zmienia się ono w jeden wielki pokłon tylko Bogu Samemu (Soli Deo).**

ks. Jerzy Banak

„Oplątek to jest chleb pojednania. (...) Jeżeli Bóg jedna się z nami, to ja – człowiek muszę pojednać się ze swoim bratem. Łamiemy się tym opłatkiem z różnymi ludźmi, czasem bardzo nam bliskimi, z którymi nas wiele łączy, ale czasem także to i owo dzieli. I łamiemy się z ludźmi dalekimi, z którymi nas łączy mało (...) W tym opłatku stajemy się bratem i siostrą. Braćmi i siostrami, tak jak Bóg nas widzi”.

Święty Jan Paweł II, 1983

OPLĄTEK WIGILIJNY

*Jest w moim kraju zwyczaj, że w dzień wigilijny,
Przy wejściu pierwszej gwiazdy wieczornej na niebie,
Ludzie gniazda wspólnego łamią chleb biblijny,
Najtkliwsze przekazując uczucia w tym chlebie.*

Cyprian Kamil Norwid

Oplątek! Na dźwięk tego wyrazu zawsze biegniemy myślą do tego jedyne, niepowtarzalnego wieczoru wigilijnego, prawdziwego misterium rodziny polskiej, kiedy to ze czcią bierzemy do ręki kawałek białego opłatka, by podzielić się nim z bliskimi, krewnymi, znajomymi, ludźmi, którym pragniemy dobrze życzyć.

Oplątek to symbol szczególnie, który może zrozumieć tylko dusza Polaka pod każdą szerokością geograficzną. Mając w ręku opłatek poddajemy się szczególnemu nastrojowi, snujemy refleksje i wspomnienia, wracamy wstecz, do lat dzieciństwa, młodości, do ciepła rodzinnego domu, do twarzy ojca, matki, rodzeństwa i ten nastrój z dawnych lat pragniemy przekazać swym dzieciom, wnukom.

Dlatego każdy opłatek jest tak drogi, tym bardziej, że jest on dla wierzącego tym szczególnym chlebem, pod postacią którego, po konsekracji, przyjmujemy Ciało Pańskie, Chleb na życie wieczne. Przypomina nam on dobroć powszedniego chleba oraz Chrystusa, który narodził się w mieście chleba (w języku hebrajskim: *בֵּית לֶחֶם* (bêt lehem) dosłownie: „dom chleba”)

Dzielenie się nawzajem opłatkiem jest najważniej-

szym momentem wieczerzy wigilijnej. Zbliża oddalonych, łączy umarłych z żywymi i jedna skłóconych. Oznacza wzajemne poświęcenie się jednych dla drugich i uczy, że ostatni nawet kawałek chleba należy podzielić z bliźnimi.

Nim na samym początku wieczerzy wigilijnej podzielimy się opłatkiem - podziękujmy Bogu za dar chleba, za inne dary i za możliwość spotkania w rodzinie, na przykład tymi słowami:

Dziękujemy Ci, Boże i Ojczy, za ten biały chleb – opłatek, owoc ziemi i ludzkiej pracy, który zgromadził nas dzisiaj w jedno przy tym stole, podobnie jak wówczas,

kiedy mocą Twego Słowa staje się Twoim ciałem i gromadzi nas we wspólnocie ołtarza.

Pobłogosław nas i ten opłatek, którym będziemy się łamać i - zwyczajem ojców naszych - składać sobie wzajemnie życzenia świąteczne.

Panie, Ty sam nauczyłeś nas tego, aby w znaku przełamania się chlebem dzielić się z innymi – a zwłaszcza potrzebującymi – miłością, życzliwością i pokojem. Obdarz więc nas wszystkich Twoim pokojem, abyśmy sławili Twoją oj-

cowską dobroć, przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Zanim będziemy życzyć sobie Bożego błogosławieństwa na Święta i Nowy Rok - wybaczymy sobie wzajemnie przykrości i postanówmy być dobrzy jak chleb, który leży na stole. Niech nasze szczerze życzenia oparte będą na wybaczeniu, wzajemnym szacunku i miłości bliźniego.



Łamanie się opłatkiem to zwyczaj znany w wielu krajach świata, a jego pochodzenie – można powiedzieć bez przesady – tonie w pomrokach dziejów. Łączy się – sama forma tego białego chleba – z obyczajami sprzed tysięcy lat; chrześcijaństwo zwyczajowi temu nadało sens wspólnego braterstwa: darowania sobie win, wszelkich uraz, nieudomówień, oskarżeń, czego wyrazem jest obopólne podanie sobie chleba.

Dar chleba ofiarnego znany był już w czasach Starego Testamentu. Prawo Mojżeszowe mówiło wyraźnie o nkazie złożenia w ofierze Bogu 12 placków praśnych, tj. pieczonych bez zakwasu. Układano je na dwa stosy i zwano chlebami pokładnymi. Musiały one leżeć przez siedem dni i dopiero po tym czasie mogli je zjeść kapłani. Żydowskie święto Przaśników było nierozłączną częścią święta Paschy.

Tradycja łamania się opłatkiem (nazwa „oplatek”

pochodzi od łacińskiego słowa „oblatum” – ofiara) jest dalekim echem form kultu i życia wspólnotowego pierwszych chrześcijan, o których św. Łukasz pisał, że **trwali** oni w nauce apostołów i we wspólnocie, **w łamaniu chleba i modlitwie**. Związany z tym był starochrześcijański zwyczaj święcenia chlebów, czyli tzw. **eulogii**. Pieczono je w formie bardzo cienkich platków, z rzadkiego ciasta pszennego, nie kwaszonego i nie solonego. Były one składane na ołtarzu podczas mszy Świętej. Eulogie nie były Ciałem Chrystusa, gdyż nie konsekrowano ich, a jedynie błogosławiono. Na znak duchowej jedności i braterskiej miłości zanoszono je tym, którzy nie mogli wziąć udziału w Eucharystii.

W starożytności opłatki sporządzano w ten sposób, że na rozgrzane płaskie kamienie lub płyty z żelaza wylewano rzadkie ciasto, które po upieczeniu obcinano na kształt koła (symbolizowało ono wszelką doskonałość).

Opłatki dla celów mszalnych zaczęli najpierw wypiekać benedyktyni z opactwa w Burgundii. Stamtąd przejęły ten zwyczaj inne zakony, min. cystersi, franciszkanie i dominikanie.

Początkowo wypiekanie opłatków było wielką ceremonią pozaliturgiczną, prawie swego rodzaju misterium, połączonym z modlitwami, pieśniami, dokonywanym z niezwykłą powagą. Na mąkę opłatkową wybierano

najdorodniejsze ziarna, płukano je starannie i zsypany do specjalnych worków, które zaufany posłaniec wioził do młyna. Tam, na tę okazję, czyszczono koła młyńskie, osłaniano je od kurzu, przesiewano mąkę przez nowe sita. Mąka po zmieleniu wracała do klasztoru, gdzie zakonnicy, ubrani w alby, zasłoniwszy usta woalem, przystępowali do pieczenia. Ciasto wylewano



na rozgrzane w ogniu szczytce żelazne z kolistym wgłębieniem, na którym wyryty był krzyż, litery IHS (Jesus Hominum Salvator, Jesus Homo Sanctus) lub znaki Męki Pańskiej. Z czasem na opłatkach w formie kolistej zaczęła się pojawiać bardziej różnorodna emblematyka w formie przebitego serca, wyobrażenia kielicha, oka Opatrzności, chusty Weroniki i inne. Pojawiły się też opłatki prostokątne, ze

scenami o tematyce bożonarodzeniowej: Narodzenie, pokłon pasterzy, pokłon Mędrców, motywy kołędowe.

Gdzieś od połowy XV w. wypiekaniem opłatków zainteresowali się w Polsce ludzie świeccy. Nastąpił burzliwy rozwój rodzinnego żelazorytnictwa. Z czasem opłatki zaczęły wypiekać organiści, a bywało, że i proboszczowie na odległych parafiach. Dziś opłatki piecze się w elektrycznych matrycach z dwóch płyt, z których górna jest ruchoma.

Stosowanie opłatków w użyciu świeckim, przy jednoczesnym uwzględnianiu ich roli obrzędowej, rozwinęło się szczególnie żywiołowo na gruncie polskiej kultury ludowej, w wierzeniach i zwyczajach całego roku.

Itak barwione opłatki dawano bydłu w wieczór wigilijny dla zapewnienia mu zdrowia. Dla zapewnienia dużej ilości mleka okadzano je też często dymem ze spalonych opłatków. Nakarmienie opłatkiem psa miało chronić go przed wścieklizną. Dom obchodzono z opłatkiem w rękę, by zabezpieczyć go przed ogniem i uderzeniem pioruna. W medycynie ludowej używano go jako środka leczniczego.

Opłatek, jak nic innego, stał się symbolem jedności Polaków, wyrazem pragnienia zjednoczenia z bliskimi, choćby na odległość, choćby przesłanie go listem. Nierzadko oblewany był łzami tęsknoty i żalu za rodzinnym krajem, za bliskimi osobami, budził wiele wspomnień, stanowił dla polskiej duszy symbol jedynej i niepowtarzalny.

Opłatek po powstaniach narodowych zabierali ze sobą polityczni uchodźcy, zesłańcy na daleki syberyjski step,

żołnierze walczący podczas ostatniej wojny na wszystkich frontach świata, którzy przez kruchy opłatek, często zdobyty z trudem na takie okazje, wracali myślami do najbliższych, do Polski.

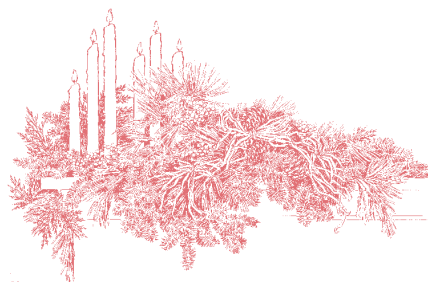
I dziś przelamanie się opłatkiem powinno być dla każdego wielkim przeżyciem i nie może być sprowadzone tylko do mechanicznego gestu wigilijnej tradycji, którą trzeba uszanować. Powinno być czynnością niemal liturgiczną, wypływającą z najgłębszych pokładów naszego jestestwa. Dziś, bardziej niż kiedy indziej, potrzeba wyciągniętej ręki z opłatkiem, nie tylko do ludzi, z którymi nas coś łączy, ale przede wszystkim i do

tych stojących od nas daleko, z którymi mamy jakieś nieporozumienia, utarczki, niedomówienia. Często, wbrew naszej woli, niekiedy nawet wbrew rozsądkowi Trzeba wyciągnąć nam rękę, by wraz z bielą opłatka i symboliką, którą on niesie, ustąpiły wszelkie urazy, uprzedzenia, by nasze serca zapłonęły żarem miłości, topiącej w nich wszelkie zło.

Warto zadbać, aby ten moment wieczerzy wigilijnej był właściwie rozumiany i przeżywany.

Józef Kuszneruk

Źródło foto: wikipedia.org; www.jp2w.pl



Wj 20,4-6

Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył (...)

Kol 1, 13-15

On uwolnił nas spod władzy ciemności i przeniósł do królestwa swego umiłowanego Syna, w którym mamy odkupienie - odpuszczenie grzechów.

On jest obrazem Boga niewidzialnego - Pierworodnym wobec każdego stworzenia,

CZY JESTEŚMY BAŁWOCHWALCAMI?

Wyznawcy judaizmu czy islamu nie mogą oddawać czi obrazom (rzeźbom), które przedstawiają wyobrażenia Boga. Doktrynalne założenia tych religii wykluczają bowiem wyobrażenie sobie przez człowieka tego, co jest niewyobrażalne. Przecież Boga nikt nie widział. A zatem wszelkie próby wizualnego przedstawiania Boga są pozbawione sensu, sprowadzają Wszechmocnego, Wiecznego, Nieogarnionego do ludzkich miar. Zatem taka wizualizacja – malarska, rzeźbiarska – pozbawia Najwyższego tych Jego atrybutów. Sama czynność wizualizowania oraz oddawanie czci obrazom, rzeźbom jest grzechem bałwochwalstwa **Tymczasem chrześcijanie, szczególnie katolicy i prawosławni, z wyjątkiem krótkich okresów walki z ikonofilią, zdobią kościoły i domy obrazami, rzeźbami, modlą się przed nimi, wierzą w cudowne ich działanie. Malarstwo czy rzeźbiarstwo religijne osiągnęły na przestrzeni wieków wyżyny artystycznego kunsztu stając się jednym z najważniejszych składników naszej cywilizacji. Czy zatem jest to cywilizacja bałwochwalcza? Czy uginając kolano**

przed stajenką betlejemską i śpiewając „Bóg się rodzi” grzeszymy bałwochwalstwem?

Przypomnijmy dwa sobory – jeden z 754 roku i późniejszy z 843 roku. Już przed tym pierwszym soborem cesarz bizantyjski Leon III oficjalnie sprzeciwiał się kultowi obrazów, próbował dla swoich działań pozyskać zarówno patriarchę Konstantynopola Germana jak i papieża Grzegorza II. Na niewiele się to zdało. Mimo, że cesarz w swych dążeniach do likwidacji kultu ikon uciekał się do rozwiązań siłowych, zarówno patriarcha jak i papież do ruchu ikonoklastów (potępiających kult obrazów) przyłączyć się nie mieli zamiaru. W konsekwencji Germana wyrzucono z urzędu, a papieża Grzegorza II uwięziono. Jak widać, starcie przeciwników kultu obrazów (ikonoklastów) z zwolennikami tego kultu (ikonofilów) było ostre. To siłowe rozstrzygnięcie problemów religijnych doprowadziło do masowego niszczenia w całym cesarstwie obrazów oraz ludzi otaczających kultem święte obrazy. Prześladowania ikonofilów, jeszcze bardziej okrutne, trwały również za panowania syna Leona III – Konstantyna V. Zwołał on

w 754 roku wspomniany wyżej sobór (wtedy sobory zwoływali cesarze), na którym potępiono (wszyscy biskupi jednogłośnie) ikonofilstwo, czyli zaczął obowiązywać w kościele chrześcijańskim ikonoklazm. O wyniku głosowania na tym soborze przesądziło wsadzenie do więzień biskupów ikonofilów. Cesarz Konstantyn, stosując te opresyjne środki, zdawał się być, zapewne w swoim mniemaniu, bezkompromisowym obrońcą boskości Chrystusa, który to przymiot nie pozwalał ukazywać Go za pomocą obrazu. Za nic miał teologiczne poglądy obrońców ikonofilii, w tym Jana z Damaszku, uważanego za najwybitniejszego teologa tych czasów. Jan w swoich dziełach uzasadniał, iż wizerunki Chrystusa są zgodne z dogmatem o naturze ludzkiej i boskiej i że są one jedynie symbolem Zbawcy. Po ogłoszeniu decyzji soboru osoby otaczające kultem obrazy Jezusa traktowani byli jak heretycy. Ze szczególnym okrucieństwem postępowano z mnichami, mordowano ich lub zmuszano do ożenku z nierządnicami, bowiem klasztory były wówczas ośrodkami, w których kwitła sztuka sakralna. Przystąpiono również energicznie do niszczenia ikon w całym cesarstwie. W kościołach wrywano ściany z mozaikami, palono ilustrowane księgi, klasztory zamieniano w koszary i składy broni. Można sobie jedynie wyobrazić, jakie spustoszenie spowodowało w artystycznym dorobku ówczesnego świata to ikonoklastyczne zacierzenie.

Z czasem, po śmierci Konstantyna, prześladowania nieco zelzały, za sprawą jego synowej Ireny, która po śmierci męża Leona IV, objęła regencję sprawując opiekę nad małoletnim Konstantynem VI. Stworzyło to jej możliwości wywierania wpływu na bieg spraw w cesarstwie. Rozpoczęła przygotowania do zwołania soboru, który miał uchylić opisane wyżej postanowienia poprzedniego soboru z 754 roku.

W realizacji swoich dążeń uzyskała poparcie papieża oraz patriarchów Antiochii, Jerozolimy, a także Aleksandrii. Sobór zebrany w 786 w pierwszej fazie swego trwania został rozpuśćony przez ikonoklastycznie nastawioną gwardię stacjonującą w stolicy. W następnym roku Irena wysłała niesprzyjające iko-

nom wojska do walki z Arabami, więc soboru w Nicei, trwającego od września do października 787, nikt już nie zakłócał. Postanowienia tego soboru potępiały ikonoklazm jako herezję. Nakazywały zniszczenie wszystkich ksiąg o treściach ikonoklastycznych oraz przywracały na wiele lat kult obrazów.

Nie był to jednak ostateczny tryumf zwolenników tego kultu. Ikonoklaści powrócili do wpływów na kształtowanie życia religijnego, kiedy rządy objął w 813 roku Leon V Armeńczyk. W 815 roku zlecił on zwołanie synodu w kościele Hagia Sofia, który unieważnił postanowienia soboru nicejskiego z 787, przywracając decyzje soboru z 754. Oznaczało to powrót fali prześladowań uderzających w ikonofilów i w sztukę sakralną. Nie była ona jednak tak niszcząca, jak poprzednia, chociaż trwała za panowania kilku kolejnych cesarzy, aż do roku 842, kiedy to zmarł ostatni cesarz ikonoklasta – Teofil.

Odtąd sztuka sakralna, w tym obrazy i rzeźby przedstawiające Chrystusa, rozwijała się bez przeszkód. Poszczególne odłamy chrześcijaństwa wytworzyły typowe dla siebie formy artystycznego wyrazu. Uwi-

dacznia się to szczególnie w odrębności ikonograficznej kościołów wschodnich i zachodnioeuropejskich. Ten rozwój był możliwy po wygaszeniu gorących sporów, których istotą był dylemat tkwiący w biblijnym zakazie: **Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani**

tęgo, co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył. Zakaz jest jednoznaczny. Tymczasem człowiek nosi w sobie naturalną dążność do przybliżenia tego, czego zobaczyć nie może, na przykład Boga, który jest bytem niematerialnym, a więc niedostępnym oglądowi za pomocą zmysłów. Sięga zatem w tym pragnieniu przybliżenia sobie Stwórcy do wyobrażeń obrazowych – maluje obrazy, wykuwa rzeźby i umieszcza je w miejscach uznanych za godne tych ikon i rzeźb. Zatem narzuca się nieodparcie pytanie: malując obraz Chrystusa łamie twórca tego obrazu przytoczony wyżej zakaz, czy nie łamie?



Czternastowieczna miniatura przedstawiająca niszczenie kościoła przez żołnierzy z rozkazu cesarza Konstantyna V

Na to pytanie próbuje, między innymi, odpowiedzieć biskup Michał Janocha w rozmowie rozmowie z Ewą Kiedo, która to rozmowa została zapisana w książce „A piękno świeci w ciemnościach”. Przytoczmy obszerny, wyjaśniający ten dylemat, fragment tej rozmowy:

Ewa Kiedo: Kiedy rozmawialiśmy o pięknie, często odwoływał się Ksiądz Biskup do sztuki ikony. Dziś jej istnienie jest dla nas oczywistością, ale przecież nie zawsze tak było. Jak to się stało, że chrześcijanie zaczęli tworzyć wizerunki świętych i samego Chrystusa, skoro w Księdze Wyjścia Bóg stanowczo tego zakazuje?

Bp Michał Janocha: Rzeczywiście ten zakaz, i to nie tylko wyobrażania Boga, ale więcej – wszelkich stworzeń, jest zawarty w pierwszym przykazaniu Bożym: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na

ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią”. Wynikał on z wiary w jedynego Boga, Stwórcę, który jest ponad wszystkimi pojęciami i który jest niewidzialny. W związku z tym sprowadzanie Go do jakiegoś widzialnego kształtu pomniejsza Go, zamyka to, co jest nieskończone.

To była też pewna próba samoobrony przed pogańskimi kultami, które otaczały Izrael z obu stron. W Egipcie i Babilonii bogowie – zresztą jak w większości religii – byli przedstawiani w rozmaitych ujęciach: ludzkich i zoomorficznych. Przykazanie miało chronić przed bałwochwalstwem, czyli oddawaniem czci takim wizerunkom. Pamiętamy złotego cielca – to była właśnie pokusa sprawowania kultu w taki sposób, jak to robili Egipcjanie i inni poganie w sąsiednich kręgach kulturowych. Bardzo przestrzegano tego zakazu. Wyjątkiem w Starym Testamencie były cheruby na Arce

Przymierza, ale kiedy już zbudowano świątynię i ukryto Arkę za zasłoną, to też tych cherubów nikt nie oglądał. Drugi wyjątek, to był wąż miedziany, sporządzony wyraźnie na rozkaz Boga, jako znak ocalenia. Zasadniczo jednak można powiedzieć, że religia Izraela była religią antyikoniczną.

W chrześcijaństwie teoretyczny problem przedstawiania Boga wyprzedziła sama praktyka. Mianowicie, chrześcijanie, którzy wchodzili do Kościoła z pogaństwa razem ze swoją kulturą wizualną, nie mieli żadnych hamulców, żeby przedstawiać Boga w widzialnej postaci – chociażby jako Dobrego Pasterza. Po paru wiekach, wraz z rozwojem sztuki sakralnej, zaczął się pojawiać problem teoretyczny. Czy wolno tworzyć wizerunki? Dlaczego wolno? Czy wolno im oddawać cześć? Dlaczego? Zdania były podzielone: niektórzy ojcowie Kościoła dopuszczali ten kult, a inni uważali, że to bałwochwalstwo i trzeba z tym walczyć.

li, że to bałwochwalstwo i trzeba z tym walczyć.

Ten spór trwał w różnym natężeniu przez parę stuleci, aż do wybuchu w VIII wieku ikonoklazmu, czyli tzw. wojny o obrazy, kiedy bizantyński cesarz Leon III Izauryjczyk, pragnąc oczyścić chrześcijaństwo z tego, co było jego zdaniem przejawem bałwochwalstwa, kazał zniszczyć wizerunek Chrystusa na swojej bramie pałacowej. W ślad za tym poszły następne decyzje, co doprowadziło do rozruchów i w końcu do soboru w Hierii w 754 roku, na którym orzeczono, że obrazy są herezją, należy je zniszczyć, a ci, którzy je wyko-

nują, i ci, którzy im oddają cześć, zasługują na potępienie. Wtedy ze strony tych osób zrodził się sprzeciw. Sobór zwołany do Nicei w 787 roku orzekł, że obraz ma rację bytu, ponieważ Bóg w Chrystusie stał się widzialny – św. Paweł mówi, że Chrystus jest obrazem



Piętnastowieczny obraz przedstawiający tryumf cesarzowej Teodory nad ikonoklazmem. W 843 roku, po śmierci męża Teofila, zwołała ona synod uznający ostatecznie kult ikon

Boga niewidzialnego. A skoro Bóg był dostępny naszym oczom, to możemy przedstawiać Go plastycznie. Co więcej, możemy również temu przedstawieniu oddawać cześć, ponieważ kto oddaje cześć wizerunkowi, oddaje cześć Bogu – kult wizerunku odnosi się, jak mówi sobór, do pierwowzoru, do prototypu. Tym samym unieważniono uchwały soboru w Hierii.

Wten sposób Sobór Nicejski II obronił obrazy i nadał im teologię, wynikającą wprost z tajemnicy Wcielenia. Jednocześnie był zwieńczeniem sześciu wcześniejszych soborów, które rozpatrywały kwestię Bóstwa Chrystusa, kwestie trynitarnie i maryjne, jest więc bardzo głęboko związany z całą chrześcijańską chrystologią. Świetnie ujmuje to kard. Christoph Schönborn w książce „Ikona Chrystusa”.

Ewa Kiedio: A więc walka o ikony wpisała się w spory chrystologiczne i była czymś znacznie głębszym, niż może się pozornie wydawać?

Bp Michał Janocha: Zdecydowanie tak. Jednak Sobór Nicejski II nie zakończył sporu. W drugiej fazie ikonoklazmu wysuwano bardziej subtelne argumenty, np. taki, że obraz Chrystusa pokazuje zaledwie Jego naturę ludzką, ale nie może pokazać boskiej i jeżeli oddajemy cześć obrazowi, to oddajemy cześć Chrystusowi-człowiekowi, a nie Bogu, czyli odzieramy Chrystusa z bóstwa. Odpowiedź na ten zarzut była równie subtelna, ale bardzo istotna, a mianowicie, że natura jest pojęciem abstrakcyjnym i nie można natury jako takiej namalować ani przedstawić. Przedstawiamy natomiast osobę Jezusa Chrystusa, a w Nim łączy się natura boska z ludzką, co orzekł już wcześniej Sobór Chalcedoński. A więc przedstawiając osobę Chrystusa, tym samym przedstawiamy osobę Bogoczłowieka. To bardzo głęboka i bardzo precyzyjna teologia, która jednocześnie nie określa, jak sztuka ma wyglądać. Sobór nie zajmował się w ogóle stroną malarską, estetyczną. Odpowiedział natomiast na pytanie o fundament teologiczny obrazu.

Żadna cywilizacja na naszej planecie nie stworzyła tak głębokiej teologii obrazu jak chrześcijaństwo w VIII stuleciu na Soborze Nicejskim II. Ona nas odróżnia z jednej strony od Żydów, dla których to pierwsze przykazanie jest cały czas aktualne w pełnej rozciągłości, także w kwestii tworzenia wizerunków (mówię oczywiście o wierzących Żydach), a z drugiej strony – od muzułmanów, którzy wprawdzie *expressis verbis* nie wyrażają w Koranie takiego zakazu, ale przyjmują starotestamentalną koncepcję Boga niewidzialnego, którego w związku z tym przedstawiać nie można. Islam nie jest religią wcielenia. Mahomet, jak wierzą muzułmanie, jest jedynie prorokiem Allaha, a więc Allah dalej pozostaje nieprzedstawialny. **W Chrystusie,**

jak powie św. Paweł, Bóg uniżył samego siebie. I to uniżenie Boga, który przyjmuje ludzką naturę, jest podstawą dla sztuki sakralnej.” (Źródło: *Wiara.pl*)

Jestem przekonany, że ten wywód, łączący argumentację teologiczną i historyczną, w pełni uwalnia nas od lęku przed popełnieniem grzechu bałwochwalstwa. Możemy zatem spokojnie podchodzić do stajenki betlejemskiej, zgiąć kolana, kontemplując oglądany obraz modlić się nie do figurki dziecięcia znajdującej się w szopce, lecz do Jezusa Chrystusa, Syna Bożego. Które ta figurka jest jedynie optycznym, figuratywnym znakiem.

2112 Pierwsze przykazanie potępia politeizm. Domaga się od człowieka, by nie wierzył w innych bogów poza Bogiem i nie oddawał czci innym bóstwom poza Jedynym Bogiem. Pismo święte nieustannie przypomina o odrzuceniu „bożków ze srebra i złota, uczynionych rękami ludzkimi”, które „mają usta, ale nie mówią; oczy mają, ale nie widzą...” Te czcze bożki czynią człowieka pustym: „Do nich są podobni ci, którzy je robią, i każdy, który im ufa” (Ps 115, 4-5. 8) 38 . Bóg natomiast jest „Bogiem żywym” (Joz 3,10; Ps 42, 3 i in.), który daje życie i działa w historii.

2113 Bałwochwalstwo nie dotyczy tylko fałszywych kultów pogańskich. Pozostaje stałą pokusą wiary. Polega na ubóstwianiu tego, co nie jest Bogiem. Ma ono miejsce wtedy, gdy człowiek czci i wielbi stworzenie zamiast Boga, bez względu na to, czy chodzi o innych bogów czy o demony (na przykład satanizm), o władzę, przyjemność, rasę, przodków, państwo, pieniądze itd. „Nie możecie służyć Bogu i Mamonie” - mówi Jezus (Mt 6, 24). Wielu męczenników poniosło śmierć za to, że nie oddawało czci „Bestii” 39 , odmawiając nawet udawania kultu. Bałwochwalstwo odrzuca jedyne panowanie Boga; jest nie do pogodzenia z Boską komuną 40.

2114 Adoracja Jedynego Boga integruje życie ludzkie. Przykazanie adoracji samego Pana czyni człowieka prostym i chroni go przed pełnym rozbiciem. Bałwochwalstwo jest wypaczeniem wrodzonego zmysłu religijnego człowieka. Bałwochwalcą jest ten, kto „niezniszczalne pojęcie Boga odnosi do wszystkiego, tylko nie do Bóg,

Ryszard Wachowicz
Źródło foto: *wikipedia.org*

BOSKOŚĆ CHRYSYDUSA

Bóg się rodzi, moc truchleje... tak zaczyna się jedna z najpiękniejszych polskich kołęd. Jej autor, Franciszek Karpiński, pokazał w niej nie tylko swój kunszt poetycki, podziwiany od dwustu trzydziestu lat. W kołędzie tej dał wyraz swojej niezachwianej wiary, przekonaniu, iż w zagrodzie dla owiec, w Betlejem **narodził się Bóg-człowiek**, Pan niebiosów, czyli całego wszechświata. Karpińskiego nie można posądzać o to, że stosując oksymoron (figurę poetycką zderzającą wykluczające się przeciwieństwa) Bóg się rodzi, chciał popisać się jedynie efektownym zabiegiem stylistycznym. Nie był bowiem jakimś pospolitym wierszokletą układającym ckliwe, sentymetalne rymowanki, jak się przyjęło go traktować w historycznoliterackim przekazie. **Karpiński to człowiek gruntownie wykształcony, doktor filozofii i bakalarz (nauczyciel) teologii. Karpiński doskonale wiedział co pisze. Wyznaje, że w Betlejem wydarzyło się to, co z perspektywy ludzkiej logiki jest niemożliwe – narodził się Bóg, narodził się, chociaż jest nieskończony, chociaż nie ma ani początku, ani końca. A jednak się narodził, i to w ludzkiej postaci.**

Tej niezachwianej wierze w boskość Chrystusa przeciwstawiły się często na przestrzeni dwóch tysięcy lat powątpiewanie lub zdecydowana niewiara w dwoistość Jego natury, w to, że Bóg zstępując z Nieba postanowił objawić się ludziom w ludzkim ciele. W przeszłości najgłośniej swojemu zwątpieniu dał wyraz Ariusz, duchowny Kościoła w egipskiej Aleksandrii. U podstaw jego doktryny legło dążenie do obrony

monoteizmu kwestionujące boskie przymioty Chrystusa, a więc ukształtowaną już w owych czasach doktryną równości Ojca i Syna. Twierdząc, że Chrystus został stworzony przez Boga Ojca uznał, że przed tym aktem stworzenia Jezusa Chrystusa nie było. Pogląd ten potępiony został w 319 roku przez synod w Aleksandrii, a następnie odrzucony w 325 roku przez Sobór Nicejski i ostatecznie potępiony na Soborze w Konstantynopolu w roku 381. Sobór ten przyjął ostatecznie dogmat o Trójcy Świętej.

Człowiek współczesny lubi dowody, twarde dowody. Być może jest to efektem wdzierania się do naszej społecznej świadomości elementów kultury są-



Wskrzeszenie Łazarza. Fresk Giotto

dowej, w której dowód na zaistnienie jakiegoś faktu, na przykład przestępstwa, jest fundamentem orzekania o winie, karze lub zobowiązaniach. Być może to przywiązanie do dowodów jest wynikiem swoistego triumfu materializmu nad idealizmem, racjonalizmu nad irracjonalizmem. Być może. Mój sceptycyzm w kwestii owego triumfu ma swoje solidne źródło w historycznym

i życiowym doświadczeniu. Materialistyczne teorie, te które uzurpowały sobie prawo do jedyności, do absolutnej słuszności, po chwilowych triumfach rozpadły się często w proch.

W każdym razie, jakie by nie były tego przyczyny, bez dowodu, najlepiej tak zwanego twardego dowodu, nie jesteśmy skłonni uznać istnienia czegokolwiek. Nie jest to postawa szczególnie naganna. Nawet w przypadku kwestii związanych z naszą wiarą. Już kiedyś jeden z apostołów, niedowierzając relacji

Piotra i Jana, a także niewiast, które udały się do Grobu Pańskiego, domagał się jednoznacznych dowodów potwierdzających zmartwychwstanie Chrystusa. Chrystus sceptycyzmu Tomasza nie potępił, chociaż z delikatną przyganą pod adresem Tomasza stwierdził, iż błogosławieni są ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli.

Jednak problem tkwi nie w tym, że domagamy się dowodów, na przykład na istnienie Boga, lecz w tym, co za dowody uznajemy. Dowody św. Tomasz z Akwinu na istnienie Boga obiektywnie mają nie mniejszą wartość poznawczą niż uznawana obecnie teoria tak zwanego wielkiego wybuchu objaśniająca mechanizm powstania obserwowanego przez nas wszechświata. Można stwierdzić, że argumenty Akwinaty i te zawarte we wspomnianej teorii dopełniają się nawzajem. Tymczasem ateści dowody św. Tomasza odrzucają, a teorię Wielkiego Wybuchu uznają za naukowo potwierdzoną, chociaż to potwierdzanie jest cały czas przedmiotem usiłowań naukowców, których końca na razie nie widać. Chrześcijanin nie musi odrzucać tej teorii, która, jak dotąd, najlepiej opisuje mechanizm rozwoju wszechświata. Przekonany jest jednak, że ten wszechświat nie mógł sam sobie dać początku, że stworzył się sam siebie. Akt stworzenia świata, łącznie z mechanizmami jego rozwoju, jest, zgodnie z przekonaniem ludzi wierzących, dziełem Boga.

Dla Stwórcy wszechświata, miliardów galaktyk, w których istnieją biliony gwiazd, nie ma rzeczy niemożliwych. Również w sposobach objawiania się człowiekowi. W Betlejem objawienie się Boga dokonało się w Jezusie. Może ktoś zadać sobie pytanie, dlaczego Bóg, objawiając się ludziom, przybrał postać człowieka, rodząc się jak człowiek, rozwijając się jak człowiek, radując się i cierpiąc po ludzku? Czy w przekazie o narodzeniu Chrystusa nie ma pogłosu znanej w innych religiach antropologizacji, stwarzania Boga na kształt i podobieństwo człowieka? Taki zarzut często podnoszą przeciwnicy chrześcijaństwa. Przewrotnie można by odpowiedzieć: a jako kto, a raczej co, miałby człowiekowi objawić się Bóg? Jako słońce? Najpotężniejsze zwierzę? Drzewo? I jak w ten sposób objawiony nawiązałby kontakt z człowiekiem? Bóg, który postanowił objawić się człowiekowi na pewnym etapie jego rozwoju, dojrzewania duchowego, musiał ucieleśnić się jak człowiek, by porozmawiać z nim i przekonać go do siebie. Jakże to, przekonać? Przecież Bóg w wszechmocy swojej mógłby po prostu nakazać człowiekowi pilne przestrzeżenie przykazań swoich – mógłby replikować ktoś zdumiony takim perswa-

zyjnym podejściem Boga do człowieka naruszającego co rusz dawne przymierza. Otóż, nie mógłby nakazać, ponieważ obdarował nas, nie chcąc z człowieka czynić jedynie bezwolnego przedmiotu, wolną wolą. A ponieważ nie chciał i nie chce niczego narzucać człowiekowi, wszedł między ludzi by ogłosić im Dobrą Nowinę i przekonać ich do prawd zawartych w Ewangelii.

Astwierzeń o boskości Chrystusa? Jest ich dużo. I są to, w ludzkim rozumieniu, twarde dowody.

Jednym z tych dowodów są cuda dokonywane przez Chrystusa, czyny wykraczające poza prawa przyrody, będące ich zaprzeczeniem, a więc czyny, na które nie mógłby się zdobyć żaden śmiertelnik, nawet najgenialniejszy i najpotężniejszy. Wskrzeszanie zmarłych, przywracanie wzroku, uzdrawianie paralityków, przy świadkach, nie zawsze przychylnych Jezusowi, często czyhających na Jego potknięcie. Powiadają przeciwnicy chrześcijaństwa, że cuda te wymyślili apologety Chrystusa, czyli ewangelisci, podobnie jak całą Ewangelię. Ten argument nie brzmi już dzisiaj poważnie, szczególnie w świetle najnowszych badań naukowych nad prawdziwością przekazu zawartego w Ewangeliach. Okazuje się, o czym pisaliśmy również na łamach Apostoła, że fakty, wydarzenia opisywane w Ewangeliach cechuje niezwykła wierność przekazu, autentyczność, co czyni z nich niezwykle wiarygodne źródło historyczne. Również w przypadku relacji o cudownych czynach Chrystusa. **Gdyby ewangelisci zmyślili informacje o tych cudach, to momentalnie spotkaliby się z gwałtownym atakiem przeciwników dopiero co powstającego Kościoła, bowiem żyło wtedy wielu świadków publicznej działalności Chrystusa. W tym Jego wrogów. Okazuje się jednak, że wrogowie ci nigdy nie kwestionowali niezwykłych, cudownych czynów Jezusa.** Wręcz przeciwnie – czynny te, między innymi ze względu na ich prawdziwość, tak bardzo ich niepokoiły, że postanowili posądzić Jezusa o współpracę z szatanem. To posądzenie, ta metoda zaprzeczania przez przeciwników Chrystusa jego mesjańskiej misji okazuje się jednym z najtwardszych dowodów na prawdziwość cudów dokonywanych przez Niego. Oddajmy tu głos Świętemu Janowi Pawłowi II, który w homilii wygłoszonej 11 listopada 1987 roku powiedział: *Zanim jednak stopniowo wnikiemy w znaczenie owych „cudów i znaków” (jak to w sposób bardzo znamienity określił św. Piotr w dniu Pięćdziesiątnicy), wypada naprzód stwierdzić, że owe „cuda i znaki” należą w sposób nienaruszalny do inte-*

gralnej zawartości Ewangelii jako świadectwa o Chrystusie, pochodzące od naocznych świadków. W żaden sposób nie można cudów wyłączyć z ewangelicznego kontekstu. Analiza tego kontekstu przemawia za ich charakterem „historycznym”, świadczy o nich jako o faktach, które w rzeczywistości się wydarzyły, które zostały rzeczywiście zdziałane przez Chrystusa. Ten, kto podchodzi do nich z intelektualną rzetelnością i naukową kompetencją, nie może zbyć ich w kilku słowach, jak gdyby stanowiły zaledwie wymysł czasów późniejszych. Warto w tym miejscu zauważyć, iż potwierdzają te fakty nie tylko Apostołowie oraz uczniowie Jezusa, ale również, w wielu wypadkach, Jego przeciwnicy. Ogromnie znamienne jest, że ci ostatni nie przeczą „czynom” dokonywanym przez Jezusa z Nazaretu, starając się natomiast przypisać je mocy „złego ducha”. Mówią bowiem: „Ma Belzebuba i przez władcę złych duchów wyrzuca złe duchy” (Mk 3,22; por. również Mt 8,32; 12,24; Łk 11,14-15). Znana jest odpowiedź Jezusa na ten zarzut — odpowiedź wykazująca wewnętrzną jego sprzeczność: „Jeśli więc szatan powstał przeciw sobie i wewnątrz jest skłócony, to nie może się ostać, lecz koniec z nim” (Mk 3,26). **Najważniejsze jednakże pozostaje to, że również przeciwnicy Jezusa nie mogą zaprzeczyć owym Jego „niezwykłym czynom, cudom i znakom” jako rzeczywistości, jako faktom zaistniałym naprawdę.** (podkreślenie moje), (www.apostol.pl). Na to świadectwo czynów niezwykłych, niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika, potwierdzających Jego synowski związek z Bogiem Ojcem, powołuje się Jezus Chrystus w słowach skierowanych do Żydów: *Ja zaś mam świadectwo, które przewyższa świadectwo Jana; dzieła bowiem, które mi powierzył Ojciec, abym je wykonał, te właśnie dzieła, które czynię, świadczą o mnie, że Ojciec mnie posłał.* (J 5,36)

Jednym z najistotniejszych argumentów, wskazujących na nadprzyrodzone działania Jezusa, jest indywidualne doświadczenie niezliczonej rzeszy ludzi wierzących. Każdy z ich mógłby przywołać zdarzenia ze swojego życia, których objaśnienie w zwykły ludzki sposób, wskazanie materialnej przyczyny ich zaistnienia, jest niemożliwe, nie znajdujące potwierdzenia w ludzkiej empirii (doświadczeniu). To są cuda zdarzające się codziennie w nas samych za sprawą Chrystusa. Wspomnijmy chociaż wielkie, niespodziewane nawrócenia ludzi walczących z Bogiem, mających na sumieniu wiele istnień ludzkich, całkowicie oddanych obłędnym ideologiom czy systemom politycznym. I nagle, wydawałoby się bez wyraźnej przyczyny zewnętrznej,

w momencie największego „rozkwitu” ich grzesznego życia, następuje radykalny przełom, olśnieni jakąś niesamowitą jasnością „spadają z konia” – jak Szaweł – słysząc: „*Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić*”. I wydobywają się z grzęzawiska grzechu i wchodzi do „miasta”, do chrześcijańskiej wspólnoty Chrystusowej. (Opisywała wiele takich przypadków Pani Małgorzata Szymańska na łamach *Apostoła*, w ramach cyklu *Wielkie nawrócenia*). Można by przywołać tysiące przypadków wyjścia z beznadziejnych alkoholowych czy narkotykowych uzależnień. Lekarze, najlepsi psychoterapeuci byli bezradni, błagania zniszczonych rodzin nie pomagały, waliły się piękne kariery zawodowe. Nałóg kończył swój taniec śmierci. I... *wezwanie Panie ratuj, bo ginę*, krzyk rozpacz, ale i wiary czynił w takich przypadkach z zatracenia człowieka odrodzonego. Fizycznie i duchowo.

Takich świadectw, takich dowodów nikt mądry nie zlekceważy. Pokazują one, że o cudach dokonywanych boską mocą przez Chrystusa, możemy mówić nie tylko w perspektywie historycznej. One dzieją się w nas albo obok nas, w innych.

W czasie Adwentu przygotowaliśmy się do spotkania z prawdą o przyjsciu do nas Słowa, które było u Boga, o przyjsciu Jezusa w całej pełni Jego bóstwa, który, byśmy łatwiej Go poznali, byśmy łatwiej poznali Boga Ojca, wcielił się w naszą ludzką niedoskonałą postać. Dołóżmy wszelkich starań, by dobrze się przygotować do spotkania z Jezusem nie tylko w Święta Bożego narodzenia, lecz codziennie, we wszystkim, o czym myślimy i co czynimy.. By Jezus nie musiał przypomnieć nam słów, które kiedyś skierował do Filipa: *Tak długo jestem w wami i nie poznałeś mnie Filipie?* (J 14,9). Dlatego uważnie wsłuchujmy się w to, co mówią nam świadkowie pobytu Jezusa na ziemi i co udokumentowali w jednym z najbardziej wiarygodnych historycznych świadectw – w Ewangeliach. W nich znajdują się owe twarde dowody, których tak gorliwie szuka współczesny człowiek. **Jeżeli dostrzeże je, pozna ich wartość, to bez wahania przyjmie za prawdę słowa Jezusa: *Kto mnie widział, widział Ojca; (...) Wierzcie mi, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we mnie; a jeśliby tak nie było, to dla samych uczniów wierzcie.*** (J, 14,9;14,11)

Źródło foto: wikipedia.org
Ryszard Wachowicz

MATKA NAJŚWIĘTZA NIE BĘDZIE SŁABSZĄ W POLSCE PRYMAS TYSIĄCLECIA – MAŻ WIELKIEGO ZAWIERZENIA

W ufnym zawierzeniu Bogu i Maryi wzrastał późniejszy wielki prymas od wczesnego dzieciństwa. W skromnej zuzelskiej organistowce małżonków Julianny i Stanisława Wyszyńskich dominantą były dwa sporych rozmiarów obrazy maryjne: Jasnogórski i Ostrobramski.

Mały Stefan – jak później wyznawał już jako kardynał – po przebudzeniu dociekał dlaczego jedna Matka Boska jest biała a druga czarna oraz dlaczego mama pielgrzymowała do tej białej, a tato do czarnej? Warto zapytać: a na co spoglądają nasze dzie-

ci i wnuki po przebudzeniu? Czy aby nie na lalki czy inne gadzety z okultystycznych bajek dla dzieci, które otwierają drzwi naszych domów mocom demonicznym?

Siłą rodziny Wyszyńskich był codzienny różaniec. Tak wspominała go siostra Prymasa Janina Jurkiewicz: „Porządek jest taki: ojciec klęczy z przodu i jest nam przykładem. Dzieci obok i z tyłu, a matka na końcu”. Serdeczna więź z Maryją i uciekanie się pod Jej obronę umocniła się po wielkiej traumie, jaką dla małego – zaledwie dziewięcioletniego – Stefanka była przedwczesna śmierć matki po porodzie szóstego dziecka Zofii Jadwigi. Tragizm śmierci Julianny Wyszyńskiej pogłębiał fakt, że nastąpiła tuż po przeprowadzce z Zuzeli do Andrzejewa koło Ostrowii Mazowieckiej, gdzie ojciec-organista otrzymał nową posadę z lepszymi do życia warunkami dla tak licznej rodziny.

Po latach Ojciec wspominał, jak po śmierci matki szczególnym miejscem ucieczki dla jego dziecięcego serca stała się figura Matki Bożej stojąca do dziś na postumencie przed parafialnym kościołem w Andrzejewie. Często biegł do niej, by podnosić wzrok i tęskniące serce ku Maryi – matce niebieskiej, której zawierzał swoją terażniejszość i przyszłość. W latach 1912-1914 podczas nauki w warszawskim gimnazjum św. Wojciecha (dziś ul. Smolna) - założonym przez Wojciecha Górskiego (zm. 1935) – Stefanek Wyszyński upodobał

sobie szczególnie figurę Matki Bożej Passawskiej nieopodal kościoła św. Anny. Do niej przybywał w rozterkach i smutkach swego sierociego serca. Figura jest wotum dziękczynnym za wiekopomne zwycięstwo Jana III Sobieskiego pod Wiedniem, a jednocześnie

i osobistym słynnego rzeźbiarza Józefa Bellottiego (zm. 1708) za ocalenie jego i rodziny od zarazy, która przez trzy lata (1677-79) grasowała w Warszawie. Czy za ocalenie stolicy przed covidem też, na przykład, prezydent Warszawy pomyśli o wotum dziękczynnym?



W środku od lewej: bp Stefan Wyszyński, kard. August Hlond, ks. Antoni Baraniak, Zamość, 1 lipca 1948 r.

Podczas nauki w gimnazjum w Łomży (1914-17) zaczęło kształtować się powołanie kapłańskie Stefana, na co wielki wpływ miała postawa wychowawcy Kazimierza Kęsickiego, który swoim przykładem zachęcał podopiecznych do codziennego uczestnictwa we mszy św. Głęboki duchowy związek z Matką Najświętszą dopełnił się po cudownym uzdrowieniu kleroika Stefana w sanktuarium licheńskim. Tuż przed terminem święceń wyznaczonym na czerwiec 1924 roku zachorował na ciężkie zapalenie płuc i w stanie beznadziejnym znalazł się w szpitalu. Wcześniej jeszcze chorował na gruźlicę i tyfus. Dla podreperowania zdrowia wysłano chorego kleroika „na zdrowe powietrze” do Lichenia, gdzie ciężko chory kleroik zawierzył całą swoją przyszłość Bolesnej Królowej Polski. Już po miesięcznym pobycie w Licheniu stan zdrowia na tyle się poprawił, że wrócił do Włocławka i przyjął święcenia kapłańskie w rocznicę swoich urodzin 3 sierpnia 1924 roku. Pełny i cudowny powrót do zdrowia Ojciec przypisywał zawsze Matce Bożej Licheńskiej, która nazywał „jedną z najpiękniejszych na świecie” i do której żywił niezwykle osobistą, synowską i serdeczną cześć. Napisał wręcz: „Jej zawdzięczam moje kapłaństwo”. Wiele lat później – w podzięce za cud uzdrowienia – ufundował dla licheńskiego sanktuarium specjalny dzwon, o czym dowiedzieliśmy się – zgodnie z zastrzeżeniem Ojca – dopiero po jego śmierci. Zaraz

też po święceniach, bo już 5 sierpnia, ks. Wyszyński udał się – zgodnie z trwającym do dziś pięknym zwyczajem polskich neoprezbiterów - na Jasną Górę, aby – jak później wyznał – „mieć matkę, która nigdy nie umiera” i która „będzie przy nim stała w każdej mszy św. jak stała przy Chrystusie na Kalwarii”.

WIELKI KONTYNUATOR

Prymas Hlond w ostatnich godzinach swego życia aż dwukrotnie rekomendował Piusowi XII jako swego następcę biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego. Nowy prymas od początku swego urzędowania z przekonaniem podjął przyjęty przez swojego poprzednika kierunek prowadzenia Kościoła w Polsce zniewolonej przez bezbożny ateizm. Tym bardziej, że w bezgranicznym zawierzeniu Maryi całkowicie utożsamiał się ze zmarłym, a najpewniej otrutym przez komunistów, swoim poprzednikiem. Z osobistym przekonaniem i serdeczną atencją nowy prymas traktował prorocze słowa swego umierającego poprzednika jako wręcz zobowiązujący testament zostawiony uczniowi przez nauczyciela. Głównym punktem w pasterskim programie prymasa Hlonda było przygotowanie narodu na rocznicę Tysiąclecia Chrztu Polski. Nowy prymas z całą energią podjął testament swego wielkiego poprzednika. A doświadczając narastającej agresji komunistów wobec Kościoła 14 lutego 1953 roku – nawiązując w oczywisty sposób do testamentu swojego poprzednika – wypowiedział słynne słowa zawierzenia: „Wszystko postawiłem na Maryję – i to Jasnogórską”. Po kilku miesiącach, 25 września 1953 roku, Ojciec został uwięziony. W więzieniu w Stoczku Warmińskim podejmowane wcześniej zawierzenia zostały 8 grudnia 1953 roku wzmocnione oddaniem się, przez ręce Maryi, w całkowitą niewolę Chrystusowi. Ten niezwykle akt duchowy stał się źródłem i fundamentem całej późniejszej posługi Ojca naszemu Narodowi oraz Kościołowi w Polsce i na świecie.

WKomańczy Ojciec – nawiązując do myśli kardynała Hlonda - opracował dziewięcioletnią nowennę przygotowującą rodaków do rocznicy Tysiąclecia Chrztu Polski. Millenijna nowenna zaczęła się na Jasnej Górze Ślubami Narodu 26 sierpnia 1956 roku. Za mało podkreśla się fakt, że Prymas Tysiąclecia miał głęboką świadomość, że – jako następca Hlonda – prowadzi dalej jego dzieło. Podczas poświęcenia pomnika Hlonda w Poznaniu 23 kwietnia 1964 roku Ojciec powiedział o tym wyraźnie: „My dzisiaj prowadzimy naród wiary w nowe tysiąclecie za przewodem Matki Bożej Jasnogórskiej. Ale nie myślcie, drodzy moi, że to czyniąc – ja i wszyscy biskupi polscy – wypełniamy tylko nasze zamiary”. I przypomniał słowa wypowiedziane w godzinę śmierci przez prymasa Hlonda: „Ja odejdę, przyjdą inni, będą moje dzieło prowadzili”. Po prawie szesnastu latach od odejścia prymasa Hlonda Ojciec mówił dalej w poznańskiej katedrze: „Oświadczam wam, dzieci najmilsze, że zawsze uważam – iż ja, niegodny następca kardynała Hlonda na stolicy prymasowskiej – że nie swoje, ale jego dzieło prowadzę dalej,

jego programy i plany wykonuję. Uważam się za wykonawcę jego duchowego testamentu. Myśli przygotowujące naród na Tysiąclecie Chrztu wzięte są z serca umierającego kardynała Augusta Hlonda”. Jak widzimy, obaj opatrnościowi dla naszej Ojczyzny mężowie Boży całkowicie identyfikowali się w ocenie zagrożeń dla misji Kościoła w narodzie zniewolonym przez walczącą z Bogiem szatańską ideologią. Podzielali też wspólnie pogląd, że maryjna droga Kościoła w Polsce ocali ojczyznę i naród przed antyboską i antyludzką zarazą komunizmu. Nikt jednak wcześniej nie związał obrony tożsamości duchowej i historycznej Polski i Polaków tak bardzo z Jasną Górą jak uczynił to Prymas Tysiąclecia.

DOM MATKI NARODU

Prymas, Ojciec Narodu – jak nikt przed nim w historii - uczynił Jasną Górę absolutnym centrum duchowym narodu. Przez dziesięciolecia z Jasnej Góry wychodziły – tam opracowywane i przemodlone - wszystkie wielkie prymasowskie programy duchowej odnowy rodaków i obrony narodu. Stąd Jan Paweł II Wielki mógł później powiedzieć, że na Jasnej Górze „bije serce narodu w sercu Matki”. Ojciec wprowadził w życie Kościoła w Polsce praktykę nieznaną nigdzie w świecie chrześcijańskim. Jasnogórska Matka w swoim Świętym Wizerunku pielgrzymuje do swoich dzieci – obecnie już po raz drugi - od 3 maja 1957 roku, z przerwą na sześćoiletnie uwięzienie przez komunistów w latach 1966–1972. W ramach poszczególnych parafii pielgrzymowała z osobna do każdego katolickiego domu. Prymas mówił o Jasnej Górze, że jest Domem Matki Narodu. Nie można nie przybywać do domu Matki, w którym Ona scala i jednoczy naród, łączy swoje czasem skłócone dzieci. Sam prymas w Domu Matki – jak obliczono – przebywał przez ponad 600 dni swego pracowitego życia.

Nie można ciągle nie przypominać tych wspaniałych i wzruszających określeń, którymi Ojciec obdarzał Jasną Górę Zwycięstwa. Nazywał ją tak jak nikt przed nim. Mówił więc, że jest latarnią naszych wzburzonych dziejów, duchową stolicą Polski, siłą jednoczącą rozbitków, stolicą chwały Bożej, ostatnią deską ratunku dla narodu, domem, do którego przybywa cały naród, twierdzą duchową, tronem naszej Matki i Królowej, amboną narodu, okrętem, który nie tonie i Sercem serc. Jest też - według Ojca - naszym narodowym Nazaretem, polską Kaną Galilejską, polską Kalwarią i prawdziwym Miastem Ucieczki. Szczególnie fascynujące jest to ostatnie określenie nawiązujące do sześciu miast ucieczki w starożytnym Izraelu, w którym mogli się chronić uciekający przed zemstą (Wj 21, 13). Warto nam wiedzieć, że Ojciec nigdy na dłużej nie rozstawał się z wizerunkiem Jasnogórskiej Matki, zabierał go ze sobą we wszystkie podróże i zawsze umieszczał w zasięgu swego wzroku.

Dziś – wobec rodzącego się na naszych oczach apokaliptycznego totalitaryzmu - jasnogórskie pielgrzymowanie staje się polską racją stanu. Nie

ma bowiem dla naszego narodu innego i lepszego spoidła jak – co przyznał nawet nasz wróg Hans Frank – „Święta z Jasnej Góry”. Wobec śmiertelnego zagrożenia starą komunistyczną utopią w nowym przebraniu wszyscy uciekajmy się pod matczyną obronę naszej Matki i Królowej wołając, jak nasi ojcowie: **Zwyciężyłaś – zwyciężaj!**

NIL DESPERANDUM!

Był dzień 22 października 1948 roku. Niespodziewanie odchodził z tego świata wczoraj jeszcze zdrowy prymas Hlond. Mówił słabnącym głosem: „*Nil desperandum! Nil desperandum! Sed victoria, si erit – erit victoria Beatae Mariae Virginis: Nie traćcie nadziei! Nie traćcie nadziei! Bo zwycięstwo, gdy przyjdzie – będzie zwycięstwem Najświętszej Maryi Panny*”.

Dokładnie trzydzieści lat później, 22 października 1978 roku, w godzinie konania prymasa Hlonda, rozpoczynała się na Placu św. Piotra eucharystia inauguracyjna pontyfikatu Jana Pawła II Wielkiego. Przyszło zwycięstwo. Większe niż pod Lepanto. Większe niż pod Wiedniem. Rozpoczął się demontaż zdawałoby się niepokonanego czerwonego smoka, który opanowywał już cały świat. Nil desperandum. Nie traćmy ducha.

Przed Tronem Boga stoją dziś i orędują za nami nasi bracia - Ci Trzej, którzy wszystko postawili na Maryję: Hlond, Wyszyński i Wojtyła. Za ich przykładem i my wszystko postawmy na Maryję. Zawierzajmy Jej siebie i wszystko, co Polskę stanowi. Każdego dnia z Radiem Maryja i telewizją Trwam stawajmy do Jasnogórskiego Apelu. Dziękujemy Bogu za Ojca Dyrektora Tadeusza Rydzyka, dzięki któremu nasza Matka i Królowa może być każdego dnia w swoim świętym Wizerunku w milionach mieszkań swoich dzieci.

16 maja 1981 roku, po przyjęciu Sakramentu Chorych, Ojciec Ojczyzny – Prymas Tysiąclecia powiedział: „Pamiętajcie, że jak kardynał Hlond, tak i ja, wszystko zawierzyłem Matce Najświętszej i wiem, że nie będzie słabsza w Polsce, choćby ludzie się zmieniali”. **Nil desperandum. Pamiętajmy. Nasza Jasnogórska Matka i Królowa była w Polsce i pozostanie zawsze Matką Boską Zwycięską. Zdeptała czerwonego smoka. Zdepcze i tego zmutowanego, który przebrał się w kolory tęczy i chce zachwiać porządkiem ludzkiej natury i całego Universum.**

ks. Jerzy Banak

Źródło foto: przystanekhistoria.pl

DZIEŃ Z BŁOGOSŁAWIONYM PRYMASEM TYSIĄCLECIA

Instytut Prymasa Wyszyńskiego i Fundacja Dziedzictwo Stefana Kardynała Wyszyńskiego serdecznie zapraszają na w domu Instytutu Prymasa Wyszyńskiego przy ul. Marsa 61 (po planowanej zmianie numeracji budynków ul. Młodnicka 34 A) w Warszawie dnia 28 każdego miesiąca w godz. 10.00-18.00

Program:

- 10.00 Otwarcie
Zwiedzanie*
Zajęcia dla dzieci, młodzieży**
 - 12.00 Msza święta***
Poczęstunek ****
 - 14.00 Konferencja Anny Rastawickiej
Modlitwa za wstawiennictwem bł. Stefana Wyszyńskiego
 - 15.00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
 - 15.30 Film
 - 18.0 Zamknięcie
- *Oprowadzanie odwiedzających w godzinach: 10.00 - 12.00, 17.00 - 18.00.



** Istnieje możliwość zorganizowania zajęć dla grupy lub klasy szkolnej - zgłoszenia telefonicznie 609 483 001 do 25 dnia miesiąca, o rezerwacji decyduje kolejność zgłoszeń.

*** Od 11.00 zbieramy intencje modlitewne, w tych intencjach jest sprawowana Msza święta o 12.00. Intencje są wpisywane także do księgi modlitw i polecane w modlitwach wspólnoty Instytutu Prymasa Wyszyńskiego.

**** Prosimy o zgłoszenie osób, które chcą skorzystać z poczęstunku.

Można nabyć pamiątki i książki z nauczaniem bł. Stefana kard. Wyszyńskiego.

Źródło foto: edukacja.ipn.gov.pl

ROZEJM BOŻONARODZENIOWY

W ciasnych okopach człowiek na człowieku. Zimno, ciemno nieprzyjemnie. Gdzieś z tyłu głowy plątał się głód, wyczerpanie, na twarzach zaś twardo odbijała się tęsknota. Gdzieś, wiele kilometrów dalej, czekała kogoś mama w ciepłą zupą w garnku, a kogoś mały synek wieszał bombki na pachnącej choince. My w tym czasie w okopach czekaliśmy na strzał. Jakże nieprzyjemna to była noc. Nie zmrużył oka chyba żaden z nas. Patrzyliśmy na siebie bez słów, jednak mówiąc tak wiele, dzieląc się najpiękniejszymi wspomnieniami, które wtedy bolały jak ciężki głaz, wciąż tłumiący najskrytsze nadzieje na biały obrus i srebrne sztućce przy wigilijnym stole.

Poranek był piękny. Tańczące z wiatrem małe płatki śniegu przykrywały już nieświeże pozostałości z trawy, niegdyś pięknej, soczysto zielonej, już od miesięcy jednak wyglądającej na podwiedłgą. Słońce świeciło jasno, dawało piękny błysk, a przez kontrast z białym puchem, wydawało się być namalowane. Jakby ktoś domalował je, by stłumić szumiący w uszach wiatr, lecz zrobiło to nieskutecznie. Zimne podmuchy wciąż wydawały się wojować ze złotymi promieniami oraz szybko przejmowały nad nimi tego dnia przewagę. Wygrywały dominującą melodię świstów, pod którą prosiło się tylko podłożyć dźwięk skrzypiec.

Siarczysty mróz i ostre słońce walczyły dzień w dzień, ale jak w tańcu, bez nienawiści i bez ofiar. Codziennie stawały twarzą w twarz z przeciwnikiem, by któreś z nich mogło przejąć dany dzień. Tego poranka, mimo sporów połączyły siły i razem nadały niesamowity klimat nieprzyjemnej scenarii.

W dzień było słychać strzały. Na początku kilka, potem cisza, potem znowu strzał i kolejny. Słyszeliśmy kłujące nasze uszy rozkazy, pojedyncze krzyki. Przez cały czas stałem wtedy z bronią i czekałem, w którą stronę będzie musiała wystrzelić. W tym momencie jedyne czego chciałem, to usiąść i napisać jeden list. Do niej. Chciałem zapewnić ją, że czuję się dobrze, że wciąż się nie poddajemy i że jeszcze do niej wrócę. Napisałbym, że ją kocham, by chociaż te słowa były z nią w ten świąteczny czas.

Wraz z lecącymi godzinami strzałów było mniej po obu stronach. Nikt nie zwrócił na to uwagi, dopóki nie zapadł zmrok. Zapanowała wtedy kompletna cisza, jakiej nie było tu od miesięcy.

Chwilę później dostrzegłem coś zdumiewająco. Wszędzie, gdzie tylko człowiek mógł zaczepić oko, niemieckie pozycje mieniły się setkami światełek. Na linii okopów stały małe choinki, a na nich gęsto wisały lampiony ze świeczkami, które rozświetlały mroźne powietrze najjaśniej jak mogły. Gdy po twarzach innych żołnierzy zrozumiałem, że nie tylko ja to widzę, a całość nie jest tylko żartobliwą pętlą w moim wycieńczonym umyśle, nie mogłem w to uwierzyć. Święta.

Niedługo później usłyszeliśmy, jak Niemcy zaczęli śpiewać „Stille Nacht”. Łamiące się głosy z każdą sylabą nabierały pewności, a kolęda niedługo później była śpiewana niczym hymn. W tym wszystkim słyszeliśmy nutę radości, nie tłumioną przez rozpaczliwe płacze z poprzednich dni.

Kiedy skończyli, chłopcy z naszego okopu zaczęli ochoczo bić brawo, po czym zaintonowali „The First Noel”. Wszyscy zaczęliśmy śpiewać, a nasze głosy szybko złączyły się w jeden, silny głos, który byłby w stanie przedrzeć się przez każdą śnieżycę, mur, a nawet wojnę. Niemcy również nagrodzili nas gorącymi brawami, po czym zaśpiewali „O Tannenbaum”. Odpowiedzieliśmy im pięknym „O Come All Ye Faithfull”, które na chwilę znowu przeniosło mnie do ciepłego domu, w którym w zeszłoroczne Święta otwieraliśmy przy tej kolędzie prezenty. Z nią, siedząc razem na dywanie i śmiejąc się naprzemiennie. Następnie moje serce ogrzała ta sama kolęda po łacinie, zaśpiewana przez naszych wojennych przeciwników.

Nie byłem w stanie wyobrazić sobie niczego bardziej nieprawdopodobnego, siedząc w okopach w czasie wojny, po nieprzespanej nocy. Okazało się jednak, że śpiewanie nie było tylko osłodą przed wykonaniem pierwszego strzału. Następny poranek zaczął się zupełnie inaczej niż wszystkie poprzednie. Od początku nie było słychać ani jednego rozkazu, panowała cisza, przeciągnięta z poprzedniego wieczoru. Wtedy stanął przed nami niemiecki posłaniec i powiedział, że jeśli my nie będziemy strzelać, to oni również nie będą. W te święta możemy razem połączyć siły i zamiast kłaść kolejne, puste, bez duszy już ciała na świeżym śniegu, możemy razem poszukać ciał niedawnych poległych i je pochować. Ostatecznie obie strony umówiły się na zawieszenie broni i wspólne szukanie ciał zmarłych kolegów. Wyszliśmy więc wszyscy z okopów i stanęliśmy twarzą w twarz z wrogami, którzy na jedną chwilę byli po tej samej stronie co my. Niemiec naprzeciwko Brytyjczyka, ale żaden z nich nie wyciągnął broni. Strach i niepewność szybko wróciły do okopów i przez moment wszyscy byliśmy po prostu ludźmi, dla których flaga na mundurze ustąpiła człowieczeństwu. Boże Narodziny, które od wieków łączyły rodziny przy jednym stole, wtedy otworzyły mur dwóch frontów, by człowiek mógł je świętować z człowiekiem, a nie z trupem.

Znaleźliśmy sześćdziesięciu dziewięciu poległych i pochowaliśmy wszystkich we wspólnej mogile, jak przyjaciół, a nie wrogów, modląc się w wielu językach, wszyscy razem, stojąc ramię w ramię. Przy akompaniamencie dudziarza wybrzmiał psalm 23, który wspólnie zaśpiewaliśmy, choć każdy po swojemu.

Później miało miejsce nabożeństwo, odprawione na ziem niczyjej. Wszyscy znowu stanęliśmy obok siebie, by przeżyć wspólnie to, czego nie mogliśmy odbyć wtedy z rodzinami. Każdego wcześniejszego roku przeżywałem Święta z dziewczyną, a wtedy za nic w świecie nie uwierzyłbym, że w tak niedalekim czasie będę na wojnie, a co dopiero, że będę modlić się o jedno i to samo z przeciwnikiem u boku. Był to widok nadzwyczajny, a tym samym naprawdę piękny. Niejednemu do oczu cisnęły się łzy wzruszenia, o których zapomnieliśmy już dawno przed lipcem. Nasz kapelan czytał modlitwy w języku angielskim, po niemiecku czytał je zaś chłopak, który ten język studiował. Niemcy stali po jednej stronie, Anglicy po drugiej, a pośrodku stali obok siebie oficerowie. Wszyscy z odkrytymi

głowami, pozwalając, by drobne, białe płatki śniegu ozdabiały nam włosy.

Jak w każde poprzednie święta, nie zabrakło też prezentów. Najpierw Niemcy obdarowali nas hojnie beczką piwa, na co my daliśmy im nasz śliwkowy pudding. Nastąpiło południe, a większość brytyjskich żołnierzy była już zbratana z Niemcami. Wzajemnie składaliśmy sobie życzenia świąteczne, coraz bardziej życzliwe, podając odważniej dłonie. Niektórzy dawali sobie nawzajem drobne upominki, takie jak kawa czy papierosy. Ktoś dał komuś swój pamiętnik, ktoś podpisał się na pocztówce, inny zanotował swój adres w czyimś notesie. Jeden Anglik zagrał na harmonijce ustnej niemieckiego żołnierza, inni tańczyli, jeszcze inni paradowali w niemieckich hełmach. Najpierw niepewnie, potem jednak po kolei zaczęliśmy razem uśmiechać się, patrzeć na siebie nawzajem jak na równych, wszystkich stojących na tym samym śniegu, stworzonych przez tego samego Boga. Każdy z nas był tam z powodu wojny, która zesłała na drugi plan wraz ze wzajemnym uściskiem dłoni oficerów i żołnierzy.

Ja najpierw podszedłem do mężczyzny, na oko dziesięć lat starszego ode mnie. Miałem wrażenie, że wpatrywał się we mnie od pewnego czasu. Gdy stanąłem wprost przed nim nie uśmiechnął się, ale zdjął skózaną rękawiczkę i podał mi rękę. Spojrzałem na niego lekko w górę, po czym również wyciągnąłem prawą dłoń w jego stronę.

– Co ty tu robisz chłopcze? – powiedział od razu. – Front to nie miejsce dla Ciebie. Powinieneś być teraz w domu, z rodziną. Boże drogi, kto nas na to skazał? Kto skazał te dzieci? Niech wrócą do matek – mężczyzna popatrzył w niebo błagalnie i podniósł na chwilę ręce.

– Wrócę. Kiedyś będę znowu z nimi, ale wierzę, że nie mogę teraz nic więcej zrobić...

– To wszystko nie ma sensu – przerwał mi mężczyzna. – Zabijamy się nawzajem, by wrócić do naszych najbliższych. Niedługo nikt z nas nie pozostanie. Myślę, że i tak już umarliśmy w dużej części i nawet, jeśli wrócimy do domu, będziemy z tą martwicą żyli do końca życia. Wojna przynosi tylko zło i zniszczenie narodów, niszczy każdego biorącego w niej udział człowieka, czy jest na pierwszej linii frontu, czy decyduje jako władca kraju za długim białym stołem. Jak mawiał Hipokrates, na wojnie tylko chirurg się uczy. – Mężczyzna urwał na chwilę, by rozejrzeć się dokoła. – O co my właściwie walczyliśmy? Komu te ziemie?

– Co pan tu robi? – odbiłem gładko pytanie mężczyzny, będąc ciekawy jego odpowiedzi.

– Nie chciałem się tu znaleźć, jak raczej każdy. Teraz walczę, by wrócić do domu, zobaczyć syna. Jest jeszcze malutki, wiesz? Tak bardzo pragnę, by nie musiał stać nigdy na twoim miejscu i by moja jeszcze nienarodzona córka nie musiała nigdy czekać na swojego męża w niepewności, czy jeszcze go zobaczy – powiedział, a ja dopiero po chwili zobaczyłem, że patrzy na moją obrączkę.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, mieszając nawzajem nasz ból, jakby taka mieszanka mogła go doszczętnie rozpuścić. – Pozdrów ją ode mnie – powiedział mężczyzna, powoli się odwracając.

– Jak ma na imię Pana syn? – zatrzymałem go pytaniem.

– Wiktor.

– Obiecuję, że jeśli bezpiecznie wrócę do domu i będę miał syna, tak właśnie go nazwę! Na cześć tej chwili, zwycięstwa dobra nad złem, człowieczeństwa nad bezczłowieczem.

Zobaczyłem w oczach mężczyzny coraz więcej łez, co wydawało mi się być mimo wszystko zbyt mocną reakcją na moje wyznanie. Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę, po czym jakby wyczytał moje zdezorientowanie, zaczął mówić:

– Wiesz, kto też miał tak na imię? Mój najukochańszy brat. Był taki podobny do Ciebie...

– Co się stało z Pana bratem?

Mężczyzna milczał przez chwilę po czym łamiącym głosem odpowiedział mi:

– Leży w tej mogile. Spędza święta z sześćdziesięcioma ośmioma innymi braćmi, mężami i ojcami. Oni, tak jak my teraz, też już nie patrzą na stronę konfliktu. Tam wojna staje się nieważna. Wiktor jest już z Bogiem w dniu pamiętki Boga Narodzenia – przerwał na chwilę, jakby chciał dać mi czas na przemyślenie jego słów – Nie powinieneś tu być chłopcze. Pomodlę się, byś wrócił szczęśliwie do ukochanej. Byśmy wszyscy wrócili do domu.

Gdy skończył mówić, włożył rękę do kieszeni, po czym wyjął z niej tabliczkę czekolady i dał mi ją, a ja wtedy podałem mu małą paczuszkę kawy. Potem obydwaj, bez słowa odwróciliśmy się i poszliśmy w dwie przeciwne strony.

Rozegraliśmy potem wszyscy, na ziemi niczyjej, mecz piłki nożnej. Zdjęliśmy z siebie nawzajem grube peleryny, pod którymi wciąż wiernie czekała młodość i po prostu chęć, siła, pragnienie szczęścia, uśmiechu, życia, a nie tylko zwycięstwa. Przez dziesiątki minut biegaliśmy dookoła kopiąc piłkę, czasem popychając się ale i pomagając sobie wstać. Nasz mecz zakończył, z wynikiem trzy do dwóch dla Niemców, wystający drut kolczasty, na który nabiła się, po jednym z kopnięć, nasza na szybko zrobiona piłka. Wszyscy jednak dalej pozostali na wybieganej podczas meczu ziemi, razem spędzając czas, jak gdyby nigdy nie chcieli być już sobie wrody, jak by ta wojna była przeciw nim samym, a w naturze ludzkiej był zawsze pokój, braterstwo i jedność.

Ten mały rozejm, był wielką wygraną tej wojny.

Do końca drugiego dnia świąt, na całej długości frontu, nie odbyły się żadne walki. W niektórych miejscach rozejm utrzymano do nowego roku, a Szkoci utrzymali go do trzeciego stycznia. Niestety jednak nastąpił moment, w którym

walki znowu rozgorzały, a świat nigdy więcej nie powtórzył już czegoś takiego jak rozejm bożonarodzeniowy z 1914 roku na froncie zachodnim. Do dzisiejszego dnia jest on jednym z najjaśniejszych punktów w historii i udowadnia nam, że nie musimy walczyć. Ludzie chcą być tylko ludźmi, a gdyby nie garstka władców o własnych poglądach i celach, wojen mogłoby nie być. Zamiast wspomnianego rozejmu, ludzie ci mogliby rozgrywać mecze w swoich domach czy ogrodach z rodziną, rodzeństwem lub sąsiadami. Mogliby posłuchać koled ze swoimi ukochanymi i nie chować braci w zbiorowej mogile. Czyż zamiast wojennych igrzysk, nie wystarczyłyby sportowe? Ileż nieszczęść można by uniknąć...

Boże Narodzenie, ponad sto lat temu, połączyło ludzi, którzy byli sobie wrody tak bardzo, że gładzili siebie nawzajem



Krzyż postawiony niedaleko Ypres w Belgii w 1999 r., dla upamiętnienia międzyrozejmu bożonarodzeniowego z 1914r.

od miesiący. W ten jeden, cudowny dzień w roku podali sobie ręce i przyjęli się nawzajem jako ludzi, takich samych jak oni sami. Żaden wyższy oficer nie dał rady zabrać im tego spokoju na ten czas, dopięli swego i spędzili spokojnie święta, w takim samym składzie, jak je zaczęli. Rozejm wywołał uśmiech na ich twarzach, wspólna modlitwa za zmarłych utuliła ich serca. Materiałowa piłka nawiązała pewne relacje u młodych, u starszych wystarczyło trochę sypkiej kawy. Tak dużo potrzeba?

Rozejm bożonarodzeniowy był jedyny w swoim rodzaju i w 1914 r. podczas I wojny światowej zdarzył się naprawdę, chociaż niektóre fragmenty tej historii są wymyślone. Na myśl przychodzą mi słowa Emily Dickinson, która pisała w swoim wierszu, że „pokoju nas uczy opowieść o bitwach”.

Powinniśmy zaprzestać wszelkich rujnujących bitew i dążyć do rozejmu i pokoju w krajach, rodzinach, przyjaźniach, rozpo-

czając to już teraz, już dziś, nie czekając na Święta. Zwłaszcza mieszkając w kraju, w którym za naszą wschodnią granicą toczy się bestialska wojna. Zamiast stroić choinkę dziesiątkami ozdób i ścierać kurz z najskrytszych kątów naszego mieszkania, postarajmy się zająć najpierw doczyszczaniem naszych serc, sumienia i duszy. By w tym mieszkaniu później wspólnie usiąść i złapać się za ręce, zaśpiewać kolędy w śniegu i w słońcu, ucząc się od nich konfliktów w rytmie tańca. Ja zaczynam.

*Krzyż postawiony niedaleko Ypres w Belgii w 1999, dla upamiętnienia miejsca rozejmu bożonarodzeniowego z 1914.
Napis brzmi: 1914 The Khaki Chum's Christmas Truce 1999
85 Years Lest We Forget.*

Źródło foto: /pl.wikipedia.org

„JOHNNY”

Recenzja filmu, którego bohaterem jest ksiądz Jan Kaczkowski

reżyseria: Maciej Jaroszek

scenariusz: Maciej Kraszewski

obsada:

ks. Jan Kaczkowski - Dawid Ogrodnik

Patryk Galewski - Piotr Trojan oraz między innymi:

Maria Pakulnis, Anna Dymna, Witold Dębicki

Czy można opowiadać o smutnych sprawach budząc radość? Jeżeli wybierzecie się na ten film, to nie zapomnijcie wziąć ze sobą chusteczek. Bo „Johnny” wzrusza do łez - i rozśmiesza do łez.

Film oparty jest na prawdziwych wydarzeniach i biografii znanego kapłana, Jana Kaczkowskiego (1977-2016), założyciela i dyrektora Hospicjum pw św. O. Pio w Pucku. Jego charyzmatem była służba chorym i umierającym. Sam borykając się z własną niepełnosprawnością - dużą wadą wzroku, niedowładem lewej strony ciała, a później nieuleczalną chorobą - potrafił prosto i z humorem rozmawiać o rzeczach ostatecznych. Był szanowany i podziwiany zarówno przez wierzących, jak i tych, którzy „nie narzucali się Panu Bogu”. Nie dający się zaszuffadkować jako liberał czy jako tradycjonalista,

bulwersujący nieraz swoim dosadnym językiem, docierał do szerokiego kręgu ludzi, o skrajnie różnych poglądach. **Jest to opowieść odchodzeniu i o człowieku, który pomaga innym przejść przez ten trudny czas. Nieść**

krzyż cierpienia, lęku przed śmiercią, odrzucenia przez świat, samotności. O człowieku, który potrafi ofiarować cierpiącym bliźnim to, czego im w tym czasie potrzeba najbardziej - swoją obecność, słowa pełne miłości, współczucie, osvajanie przerażenia, trzymanie za rękę. I który w końcu sam musi przejść tę samą drogę krzyżową.

Jest to też opowieść o rozkwitaniu. Młody bandyta, ten który „ćpał, kradł i budził przerażenie”, zjawia się w puckim hospicjum. Musi tam - wyrokiem sądu - przepracować określony czas, w ramach resocjalizacji. Ksiądz Kaczkowski nie skreśla go, nie odrzuca ze wzdrgą, ale ofiaruje mu swoje zaufanie, stawiając równocześnie wymagania: „360 godzin prac społecznych. Gratuluję. Carpe diem*. Tylko przyjdź wyspany i trzeźwy jak świnia. Jedna skarga i wypad”. (*Carpe diem - „chwytaj dzień” - sentencja pochodząca z poezji Horacego)

Między Patrykiem i dyrektorem hospicjum zawiązuje się niezwykła przyjaźń. Towarzysząc księdzu przy pracy, obcując z cierpieniem pacjentów, były przestępca i narkoman krok po kroku staje się innym człowiekiem. Pancierz, którym odgradzał się od Boga i ludzi, kruszy się. Ten, któremu wiele wybaczone, spostrzega nagle dobro wokół siebie i przekonuje się, że jego życie nie jest stracone, i że sam ma wiele do ofiarowania innym.



Pierwotwór głównego bohatera filmu, ksiądz Kaczkowski, od urodzenia był słabszy fizycznie od rówieśników. Co ciekawe, wyszedł z rodziny niewieźrzącej. Jednak zrzędzeniem boskim jako kilkuletni chłopiec przyjeżdżał często do Krakowa, na kolejne

operacje okulistyczne. Zatrzymał się u babci Wincentyny, która była praktykującą katoliczką. To z nią po raz pierwszy wszedł do kościoła, odkrył, że poza tym, co widzi i słyszy, istnieje jeszcze inny świat - duchowy. Dzięki niej przystąpił do Pierwszej Komunii Świętej. Ten fundament wiary pozwolił mu w wieku 17 lat powrócić do Kościoła i podjąć decyzję o wstąpieniu do seminarium. „*Moja mama bardzo nie chciała, żebym został księdzem. Była to dla niej degradacja. - Boże! - mówiła - Mój syn będzie żebrakiem! - Tak, mamo - odpowiadałem - ale ekskluzywnym: nie przed kościołem, a w kościele.*” Kiedy nadszedł czas święceń, rada profesorska miała wątpliwości co do jego możliwości sprawowania posługi. - „*Święcić czy nie święcić? Widzi czy nie widzi? Da radę czy nie?*” - Ktoś na szczęście rozładował atmosferę: - „*A pieniądze widzi? Widzi! To święcić!*”

Kiedy jako katecheta po raz pierwszy wchodził do sali lekcyjnej szkoły zawodowej, wywołał salwę śmiechu. Kulawy ksiądz, ze szklami w okularach jak denka od słoików! Ale w krótkim czasie młodzieńcy w trudnym wieku przekonali się, że z księdzem Kaczkowskim można o wszystkim porozmawiać, odwiedzić go o każdej porze dnia i nocy, można zawsze na niego liczyć. „*Czas... To jest coś najcenniejszego, co możemy dać drugiemu człowiekowi.*” I nie wiadomo kiedy owi chłopcy, często nie znający prawdziwego dzieciństwa, którym nikt nie poświęcał uwagi, pochodzący z rozbitych rodzin, zmieniali się nie do poznania. Początkujący chuligani, a nawet zaawansowani przestępcy, nie rokujący nadziei na poprawę - stawali się jego „synkami”. Pełnił wobec nich rolę drugiego ojca, bo pierwszy często był alkoholikiem albo nauczycielem złodziejskiego fachu, albo wcale go nie było.

Ksiądz Jan Kaczkowski, mimo choroby, żył „na pełnej petardzie”, organizując życie pacjentów i personelu hospicjum, spotykając się z ludźmi, udzielając sakramentów chorym, towarzysząc umierającym, głosząc kazania w całej Polsce... i nie tylko. „*Ostatnio strzeliło mi do głowy - już nie giejak, ale zaprosiła mnie Polonia w Australii. No i będę tam leciał 26 godzin. Na co mój brat, który jest zawsze bardzo krytyczny wobec mnie, mówi: „Jesteś idiotą”. No bo my się właśnie tak kochamy i bardzo szczerze ze sobą rozmawiamy. On powiedział gorzej, ale - nie będę cytował. „Zrobimy ci symulację lotu. Posadzimy cię na kiblu, przystawimy cię szafami. Będziesz mógł jeść i co jakiś czas wstać i między tymi szafami się przecisnąć. I będziesz tam siedział 26 godzin. I jeżeli ten test przejdiesz, to będziesz mógł polecieć do Australii.” To taka braterska miłość*”. Na stronie Puckiego Hospicjum widnieje dewiza, słowa ks. Kaczkowskiego: „*Chorowanie to wciąż życie, które można wypełnić sensem*”. Do tego potrzebna jest uważność i wrażliwość na cudze cierpienie. „*Bliskość z innymi ludźmi jest tym, co nas chroni, a poczucie, że jesteśmy kochani dodaje nam siłę*”. Trzeba przywrócić choremu godność, otoczyć go miłością, przynieść ulgę w bólu, dać mu czas na oswojenie się ze śmier-

cią, pojednanie, wybaczenie, przygotowanie na spotkanie z Bogiem... Tyle rzeczy jest do zrobienia w tym ostatnim okresie życia. „*Często moi pacjenci widzą na jawie zmarłych i dziwią się, że my ich nie widzimy. Stykają się dwa światy – ten nasz i ten po drugiej stronie. To my je tylko radykalnie rozdzielamy. Lubię taki moment, kiedy relacja z umierającym staje się intymna, kiedy zaczynamy mówić wprost o odchodzeniu i nawet potrafimy z tego zartować - mówił ksiądz Kaczkowski. - Mogę wtedy poprosić: „Słuchaj, jak zobaczysz, że wbrew poleceniom papieża Franciszka kupuję mercedesa albo mam pannę i pięcioro dzieci, to mnie z tamtej strony porządnie kopnij*”. Wtedy pojawia się na twarzy umierającego taki lekki uśmiech, skinienie głową. Niektórzy mają siłę powiedzieć: „*Masz to jak w banku*”. Inni: „*Jeśli mi Pan Bóg pozwoli, to tak zrobię*”.

Gdy usłyszał diagnozę swojej choroby - nowotwór mózgu - ogarnął go strach i jak pewnie każdy w takiej sytuacji zadreślał się ponurymi myślami, co go czeka. W pewnym momencie przysłała jednak trzeźwa refleksja: „*Kaczkowski, nie bój się, tego się nie da spięprzyć, nie da się umrzeć na pół albo umrzeć troszeczkę. To ci się na pewno uda*”. I wrócił do swoich zwykłych zajęć, do końca służąc, do końca żartując. „*Na pytanie, czy chce się przekreślić (na łóżku), odpowiadał: Nie, jeszcze nie. Jeszcze długo nie. Kiedy tata pomagał mu wysiąść z samochodu, zauważał: kiedy prosisz - wyciągnij nogi, brzmi to dwuznacznie*”.

Ksiądz Jan Kaczkowski zmarł w wieku 38 lat, jako pacjent swojego hospicjum.

Idźcie na film.

Zabierz, Panie, i przyjmij całą wolność moją, pamięć moją i rozum, i wołę moją całą, cokolwiek mam i posiadam. Ty mi to wszystko daleś – Tobie to, Panie, oddaję. Twoje jest wszystko. Rozporządzaj tym w pełni wedle swojej woli. Daj mi jedynie miłość Twoją i łaskę, albowiem to mi wystarcza.

Św. Ignacy Loyola, „Ćwiczenia duchowe”
(ulubiona modlitwa ks. Jana Kaczkowskiego)

Na podstawie: Filmweb <https://www.filmweb.pl/film/Johnny-2022-847549>; „*Życie na pełnej petardzie*” <https://www.youtube.com/watch?v=iQ9gBX8RaYM>;
Dasz radę - ks. Jan Kaczkowski.pdf;
foto: nextfilmpl You Tube
Małgorzata Szymańska

KRONIKA PARAFIALNA

Odświeżanie plebanii czyli inwestycji c.d.

To, co widać na zdjęciach, to nie wystawa okien oferująca ten jakże niezbędny w naszej szerokości geograficznej element każdego budynku. Niestety, lata lecą i wszystko się starzeje. Okna w budynku plebanii też. Trzeba je wymienić, by za wiele rześkiego, mroźnego powietrza nie wpuszczały do pomieszczeń. Zapewne, kiedy ten numer „Apostoła” będzie czytany, prace związane z wymianą będą już zakończone.

RW; foto: Paweł Adamajtys



Odpust parafialny

23 października 2022 roku przypadł naszej parafii dzień liturgicznego wspomnienia Świętego Jana Pawła II. Zbiegł się on z finałem peregrynacji po parafiach naszej diecezji Wizerunku Najświętszej Marii Panny, który gościliśmy w naszym kościele przez tydzień poprzedzający odpust. Zgromadzeni na uroczystej Mszy Świętej, której przewodniczył kanclerz kurii ksiądz dr Maciej Miętek, podziękowaliśmy Matce Boskiej Matce Kościoła za nawiedzenie parafii kierując, za Jej pośrednictwem i wstawiennictwem Świętego Papieża, nasze modlitwy do Boga o wszelkie łaski i błogosławieństwa.

RW; foto: Paweł Adamajtys



Dzień Skupienia TOTUSÓW

Dwa razy w roku mężczyźni z formacji TOTUS TUUS z całej Diecezji Warszawsko-Praskiej, prezentowanej kilkakrotnie na łamach „Apostoła”, spotykają się na rekolekcjach nazywanych Dniami Skupienia. Jesienią tego roku zebraliśmy się na modlitwie i rozważaniach w Zuzeli, w parafii, w której urodził się i był ochrzczony oraz pobierał pierwsze nauki szkolne błogosławiony kardynał Stefan Wyszyński. Na zamieszczonych zdjęciach nasi parafianie, fragmenty sanktuarium Zuzeli oraz Muzeum upamiętniające Błogosławionego Prymasa.

RW; foto: Paweł Adamajtys, Kazimierz Surdel



INFORMACJE PARAFIALNE

Msze Święte:

Niedziela: 7:30, 9:00, 10:00, 11:30, 13:00, 18:30

Dni powszednie: 7:00, 7:30, 18:30

Kancelaria Parafialna - czynna od wtorku do piątku włącznie godz. 16:00 - 18:00.

Biblioteka Parafialna - czynna czwartki Kancelarii Parafialnej, godz. 16:00 - 18:00.

Poradnia dla narzeczonych małżeństw czynna poniedziałki (oprócz świąt) od godz. 17.00 do 18.20, salce przy kancelarii parafialnej. Prowadzi ją doświadczony nauczyciel metod naturalnego planowania rodziny, pani Teresa Przybył.

Strona internetowa Parafii:

www.janaipawla.pl

Strona internetowa Diecezji Warszawsko-Praskiej:

www.diecezja.waw.pl

Konto bankowe Parafii – informacja dla potencjalnych ofiarodawców na cele inwestycyjne Parafii:

Parafia p.w. Św. Apostołów Jana Pawła,

ul. Kapelanów AK 2, 04-046 Warszawa,

nr konta: 32 1240 1037 1111 0000 0692 0766

Kościelna Służba Porządkowa Totus Tuus: moderatorem grupy jest ksiądz Proboszcz. Członkowie grupy współtworzą oprawę liturgiczną uroczystości nabożeństw kościelnych, pełnią służbę przy utrzymywaniu porządku czasie większych zgromadzeń uroczystości kościelnych, doskonalą się wewnątrznie trakcie specjalnych spotkań formacyjnych, odbywających się każdą drugą środę miesiąca, po mszy wieczornej, budynku plebani.

Szczegóły: telefon 603 38 68 17, mail: rwach@onet.pl

Odnowa Ducha Św. Spotkania odbywają się poniedziałki. Rozpoczynają się Mszą Świętą godz. 18.30. Po Eucharystii spotkanie kontynuowane jest salce na plebanii (pierwsze wejście). Zapraszamy szczególnie te osoby, które są otwarte na natchnienia Ducha Przenajświętszego te, które chcą się modlić uzdrowienie swoje swojej rodziny

Służba Boża. Wszelkie informacje nt. posługi bielonek posługi ministranckiej Parafii można uzyskać Zakrystii (po każdej mszy świętej), jak kancelarii parafialnej.

Wesprzyj parafię

Szanowni Parafianie, czytelnicy „Apostola”

Jak zapewne wszyscy zdążyli już zauważyć, w naszym kościele trwa od jesieni ubiegłego roku nowy, kolejny etap dostosowywania go do potrzeb wiernych. Po ogromnym wysiłku budowy kościoła, aranżacji wnętrza, w tym witraży, mozaik, po instalacji organów oraz zakupu sprzętu i wyposażenia, przyszedł czas na zamianę dotychczasowego ogrzewania na podłogowy system grzewczy. Będzie on wspierany ekologicznym źródłem zasilania w energię elektryczną w postaci paneli fotowoltanicznych. Takie inwestycje wymagają bardzo dużych nakładów finansowych.

Nie mniejsze są również zobowiązania i wydatki związane z utrzymaniem kościoła, opłatami za energię elektryczną, wodę, wywóz śmieci, z bieżącymi naprawami i zapewnieniem skromnej egzystencji naszych kapłanów oraz zatrudnionych osób świeckich.

Dlatego też Redakcja gorąco zachęca wszystkich do przekazywania ofiary na rzecz naszej parafii postaci wpłat, wysokości podyktowanej przez serce możliwości finansowe, na rachunek bankowy parafii:

32 1240 1037 1111 0000 0692 0766

Redakcja Apostola: e-mail: rwach@onet.pl lub radziej@op.pl

Zapraszamy serdecznie do prac w zespole redakcyjnym osoby z lekkim piórem, które chciałyby podnosić tematy istotne dla życia Parafii. Wstępny kontakt – poprzez wskazane wyżej adresy poczty elektronicznej.

Opiekun: Ks. Prałat dr Zygmunt Ueciwek

Zespół redagujący: Ks. Prałat Jerzy Banak, Ryszard Wachowicz, Sylwia Mariusz Krawczak, Małgorzata Szymańska, Radosław Wachowicz, Józef Kuszneruk, Dagmara Dziarnowska, Sara Gayane Dziarnowska, Stefan Ułasiuk, Jan Golik, Paweł Adamajtyś.

Adres parafii: ul. Kapelanów Armii Krajowej 2, 04-044 Warszawa.

Nakład 300 egzemplarzy.

